

 HARLEQUIN[®]
TM

ŚWIATOWE ŻYCIE[®]



GRA
O WYSOKĄ STAWKĘ

MELANIE MILBURNE

Melanie Milburne

Gra o wysoką stawkę

Tłumaczenie:

Maria Nowak

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Co masz na myśli, mówiąc, że przegrałeś Tarrantloch? – Angelique cedziła słowa z nienaturalnym spokojem, jak osoba, która doznała ciężkiego szoku.

Czy ojciec rzeczywiście oświadczył przed chwilą, że, bawiąc w Las Vegas, przegrał w pokera rodową posiadłość nieżyjącej matki?

Nie. To nie mogła być prawda.

Angelique niczego na świecie nie kochała tak, jak tego miejsca. Stare kamienne siedlische położone wysoko w górach Szkocji, które przeglądało się w srebrzystych wodach tajemniczego jeziora Tarrantloch, otoczone wyniosłymi, skalistymi szczytami, wielu uznałoby za ponure, jeśli nie złowrogie. Inni orzekliby, że jest tutaj po prostu szaro, pusto i nudno. Ona miała inne zdanie. Dostrzegła dzikie, nieujarzmione piękno tej krainy. Wyczuwała energię bijącą z ziemi, nieskrępowanej betonowymi okowami cywilizacji. Tutaj powietrze pachniało upojną, beztroską wolnością. Angelique miała wrażenie, że oddycha czystym szczęściem za każdym razem, kiedy przyjeżdżała wąską krętą drogą aż pod starą bramę, wspartą na porośniętych mchem kamiennych filarach. Uwielbiała tę chwilę, gdy wyskakiwała ze swojego małego terenowego jeepa, a żwir podjazdu chrzęścił pod obcasami jej znoszonych skórzanych butów. Ruszała ku domowi, witana żywiołowo przez pięć ogromnie podekscytowanych labradorów. Na progu czekali na nią uroczy starsi państwo Chattan, opiekunowie posiadłości. Angelique Marchand, modelka o międzynarodowej sławie, celebrytka i dziedziczka wielomilionowej fortuny, wpadała w ramiona krzepkiej, przepasanej wykrochmalonym fartuchem gospodyni z uczuciem, że nareszcie znalazła się w domu.

Nie mogła uwierzyć, że właśnie ten dom straciła. Wolała nie myśleć, co się stanie ze starą rezydencją i z jej gospodarzami pod rządami nowego właściciela. Nieznany hazardzista, któremu poszczyściło się przy karcianym stole w Vegas, prawdopodobnie nie wiedział nawet, gdzie leżą Góry Kaledońskie.

Ojciec nigdy nie przyjeżdżał do Tarrantloch, co nie przeszkadzało mu głośno przechwalać się posiadaniem kilkusetletniej szkockiej rezydencji. Pomijał fakt, że dostała mu się ona tylko dlatego, że małżonce Catherine z domu Tarrant przez myśl nie przeszło, by obstawać przy rozdzielności majątkowej. Wobec Angelique ojciec nigdy nie krył, że gardzi niereprezentacyjną „rudera”. Wyśmiewał przywiązanie córki do tego miejsca, podobnie jak wykpiwał i poniżał jej matkę, dopóki żyła. Angelique jednak była ulepiona z innej gliny niż delikatna, naiwnie wierząca w miłość aż po grób Catherine. Dlatego niewiele sobie robiła z ojcowskich fanfaronad. Aż do tej chwili.

– Co mam na myśli? – Henry Marchand westchnął jak ktoś, kto z najwyższym trudem znosi męczące

towarzystwo osoby ociężalej umysłowo. – Grałem w pokera, normalnie, jak człowiek. Miałem złą passę i poszła cała gotówka, tak bywa, doświadczony gracz wie, że to jeszcze nie koniec świata. Karta zaczęła mi iść, byłem pewien, że się odegram, ale musiałem coś zastawić, więc zastawiłem rudere. Ale ten przeklęty lis, Remy Caffarelli...

– Kto taki?! – Angelique wrzasnęła, nie starając się nawet zapanować nad głosem.

– Caffarelli! – warknął ojciec w odpowiedzi, krzywiąc usta, jakby wypluwał coś ohydneho. – Oszukał mnie, podle oszukał! Dawał do zrozumienia, że trafiły mu się blotki, więc zagrałem *va banque*. Byłem pewien, że zgarnę wszystko, bo w rękę miałem strita. Nie mogłem przecież wiedzieć, że ten łajdak ma pokera królewskiego w pikach!

Angelique miała ochotę zapytać ojca, czy nigdy nie słyszał, że gra w pokera polega na blefowaniu, ale w tym momencie dotarła do niej straszna prawda.

– Nie mów, że to Remy Caffarelli wygrał od ciebie Tarrantloch. – Tym razem z jej gardła wydobył się tylko ochrypy szept. Zgroza sprawiła, że zdretniały jej wargi. Remy Caffarelli był bezczelnym, aroganckim typem. Nie cierpiała go, nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Już sama myśl o nim była dla niej... nieznośnie przykra.

– Odzyskam tę rudere – oświadczył Henry z niezmaconą pewnością. – Muszę tylko namówić Caffarellego na rewanż. Tym razem to ja go przechytrzę. Będę umiejętnie podbijał stawkę, aż...

– Aż Caffarelli oskubie cię ze wszystkiego! – Angelique uniosła ręce i z desperacją złapała się za głowę. Czy ojciec naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że stracił Tarrantloch nie przez zbieg okoliczności, nagłe odwrócenie szczęścia w grze, tylko w wyniku drobiazgowo zaplanowanej i po mistrzowsku zrealizowanej zemsty?

Rody Marchandów i Caffarellich, obydwa należące do elity europejskiej finansjery, niegdyś łączyła przyjaźń. Angelique pamiętała jeszcze czasy, kiedy jej ojciec i stary Caffarelli, dziadek Remy'ego, składali sobie częste, serdeczne wizyty, wspólnie planowali rynkowe strategie. Dziesięć lat temu nastąpił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, zażyłość zamieniła się we wrogość i nieprzejednaną rywalizację. Ostatnio Henry Marchand dolał oliwy do ognia, kiedy z czystej złości zniweczył bardzo zyskowny interes, który Caffarelli mieli ubić na Wyspach Kanaryjskich, wzbogacając swoje imperium hotelarskie o kolejny luksusowy obiekt w pięknej, egzotycznej lokalizacji. Wystarczył jeden ociekający jadem mejl, żeby kontrahent wycofał się w ostatniej chwili, zostawiając Caffarellich na lodzie. Henry bawił się znakomicie, choć przecież sam nie zyskał ani grosza na klęsce przeciwnika. Teraz przyszedł czas zapłaty. Caffarelli nie dostali ziemi na Teneryfie z winy Henry'ego Marchanda? Wobec tego Henry Marchand też coś straci. Coś naprawdę cennego. Angelique nie była specjalnie zaskoczona faktem, że to Remy zdecydował się działać, by pomścić nieczyste zagranie jej ojca. Z trzech braci Caffarellich to on był najsilniej związany z dziadkiem, choć relacja, która ich łączyła, nie należała do łatwych. Podczas gdy Raoul

i Rafe założyli własne przedsiębiorstwa, Remy pozostał wierny rodzinnej firmie. Angelique mogła się tylko domyślać, jak ciężko pracował, żeby zyskać szacunek nestora rodu, kostycznego Vittoria Caffarellego. Fiasko interesu na Wyspach Kanaryjskich na pewno nie umknęło uwadze starego. Tym bardziej Remy musiał się starać, żeby zatrzeć złe wrażenie. A przejście Tarrantloch, gniazda szkockiej arystokracji, było wydarzeniem, które dziadek Caffarelli z pewnością ocenił pozytywnie. Remy był przekonany, że uderzył Henry'ego Marchanda tam, gdzie go naprawdę bolało. Nie mógł wiedzieć, że Henry tak naprawdę Tarrantloch miał gdzieś. W dodatku, o ironio losu, szkocka posiadłość formalnie należała do niego tylko tymczasowo. Już za rok, w dniu dwudziestych szóstych urodzin Angelique, Tarrantloch miało zostać oficjalnie jej własnością, zgodnie z testamentem Catherine.

Ojciec, oczywiście, ostatnią wolą żony nie przejął się ani trochę i rodową rezydencję Tarrantów po prostu przegrał w karty.

Anegdotyczne.

Angelique czuła, że zalewa ją krew.

Nie dość, że ojciec lekką ręką przepuścił jedyną rzecz na tym świecie, która była dla niej bezcenna, miejsce pełne wspomnień po nieżyjącej matce, to jeszcze dostało się ono nie komu innemu, a właśnie Remy'emu Caffarellemu! Gdyby to był jakikolwiek inny człowiek, mogłaby mieć nadzieję, że uda jej się coś wynegocjować. Na dojście do porozumienia z Remym szans nie miała żadnych. Delikatnie mówiąc, nie przepadał za nią. Animoszja między nimi dwojgiem zaczęła się jeszcze w czasach, kiedy Marchandowie i Caffarelli pozostawali w dobrych stosunkach. Angelique bywała z ojcem we włoskiej rezydencji Caffarellich. Pan na włościach, stary Vittorio, dbał o to, żeby wymogom gościny stało się zadość, Remy otrzymywał więc polecenie „zabawiania młodej damy”. Jego oczywisty brak entuzjazmu był dla Angelique wysoce obraźliwy, więc odpłacała mu się pięknym za nadobne, robiąc nadąsane miny i rzucając kąśliwe uwagi. Fakt, że różnica wieku między nimi wynosiła osiem lat, na pewno nie przyczyniał się do wzajemnego porozumienia. W rezultacie ona miała go za aroganckiego, nieprzystępnego zarozumialca, a on ją za rozpieszczoną, kapryśną księżniczkę, przekonaną, że jest pępkiem świata. Tak było przed laty; upływ czasu niczego nie naprawił, wręcz przeciwnie. Choć nie widzieli się od bardzo dawna, wzajemna antypatia bez wątpienia nie tylko przetrwała, ale wręcz się nasiliła. Angelique miała wszelkie powody, żeby uważać Remy'ego za niepoprawnego, do cna zepsutego playboya i imprezowicza. On, jeśli tylko widział billboardy na ulicach największych miast Europy, najprawdopodobniej był zdania, że Angelique Marchand jest lubującą się w skandalach bezwstydnicą, która wszystko wystawiała na sprzedaż.

Nie, zdecydowanie, nigdy nie będzie porozumienia między nią a Remym. Nie będzie między nimi niczego poza niechęcią, wybuchową jak nitrogliceryna. Nie mogła nic na to poradzić.

– Jak mogłeś zrobić coś tak durnego?! – wybuchła.

Zobaczyła, jak ojciec mruży oczy, strosząc swoje krzaczaste brwi, jak zaciska wargi w wąską bladą linię, drgającą od furii.

Kiedy była małą dziewczynką, jak ognia bała się wybuchów złości ojca. Ponieważ nie sposób było przewidzieć, co go rozdrażni, lęk towarzyszył jej przez cały czas, dręczył jak ohydny, pełzający po skórze owad. Co z tego, że ojciec nie stosował fizycznej przemocy? Może łatwiej byłoby znieść bicie niż obelgi cedzone głosem ochrypłym od furii, i stałe zagrożenie, że tym razem pan i władca posunie się dalej. Matka, Catherine, bała się męża przez całe życie, aż do dnia, kiedy zdecydowała, że woli połknąć garść środków psychotropowych, niż jeszcze choć raz narazić się na wybuch gniewu Henry'ego. Angelique znalazła inny sposób. Zrozumiała, że nigdy nie zdoła zadowolić ojca, którego zmiennych nastrojów niepodobna było przewidzieć, i porzuciła starania, by mu się przypodobać. Szybko odkryła, że bezczelna niesubordynacja jest lepszą, a także o wiele bardziej satysfakcjonującą strategią niż uległość. Ojciec zamierzał wysłać ją na elitarny uniwersytet, więc ona po maturze po prostu rzuciła naukę. Kiedy, wściekły, zagroził, że wobec tego nie da jej ani centa, roześmiała mu się w twarz. Nie potrzebowała jego pieniędzy. Mogła się utrzymać sama, i to z łatwością, bo właśnie podpisała kontrakt z agencją modelek. Będzie reklamować bieliznę i kostiumy kąpielowe! Ojca omal szlag nie trafił. Jego córka, którą z takim trudem usiłował wychować na prawdziwą damę, skromną i znającą swoje miejsce, uparła się, żeby wystawiać swoje rozneglizowane wdzięki na widok publiczny! Jak on się pokaże w klubie?! Wszyscy starzy, utytułowani kretyni, którzy tam przesiadują, urządzają sobie niezgorszą zabawę jego kosztem. Docinkom nie będzie końca...

Henry pieklił się więc i miotał groźby, ale Angelique była nieugięta. Kiedy wyjechała na swoją pierwszą sesję zdjęciową, łudził się, że córeczka nie wytrzyma zderzenia z twardą rzeczywistością i wróci do domu z podkulonym ogonem, błagając o przebaczenie. I o pieniądze. Ku jego ogromnemu rozczarowaniu, nic takiego nie nastąpiło. Angelique okazała się naprawdę dobra w fachu, jaki sobie wybrała. Zmotywowana, stuprocentowo skupiona na pracy, zawsze profesjonalna i diabelnie fotogeniczna, odniosła wielki sukces. To, że mówiła biegle trzema językami, i, jeżeli chciała, potrafiła być naprawdę urzekająco miła, także w niczym nie przeszkadzało. Propozycje kontraktów zaczęły pojawiać się jak grzyby po deszczu, gąże rosły w postępie geometrycznym, prasa rozpisywała się o młodej gwiazdce świata mody. Angelique Marchand nigdy nie planowała, żeby z modelingu zrobić sposób na życie. Jakoś tak wyszło, że bunt nastolatki dał początek olśniewającej, międzynarodowej karierze, czyniąc z niej osobę światową i całkiem zamożną.

Sławę i pieniądze – dobra, o które wielu ludzi bezskutecznie zabiegało latami – ona osiągnęła niemalże błyskawicznie. Był czas, kiedy rozkoszowała się tą świadomością, pławała w blasku fleszy i nie mogła doczekać kolejnego wyjazdu w egzotyczne plenery. Potem przyszło otrzeźwienie i zaczęła

dostrzegając, że modeling to po prostu praca, w dodatku ciężka. Życie na walizkach, niezliczone godziny spędzone na lotniskach, w gabinetach kosmetycznych i u stylistów fryzur, a przede wszystkim wieczny, bezwzględny imperatyw idealnego wyglądu. Szanowała tę pracę, bo dawała upragnioną niezależność, jej serce było jednak gdzie indziej. Już dawno zrozumiała, że jej kotwicą jest spuścizna po matce. Jeżeli nie chciała stać się wrakiem, miotanym przez życiowe burze i zmienne kaprysy fortuny, tej kotwicy musiała się trzymać.

– Jak śmiesz zwracać się do mnie w ten sposób, ty mała żmijo?! – warknął Henry. – Uważaj, bo...

– Bo co? – wpadła mu w słowo. Podniesiony głos ojca, jak zawsze, sprawił, że krew zagotowała się w jej żyłach. – Co mi zrobisz?! Zadręczysz mnie, tak jak zadręczyłeś mamę? Nie licz na to. Ze mną nie pójdzie ci tak łatwo!

Henry westchnął głęboko, jak człowiek, którego cierpliwość została wystawiona na ostateczną próbę.

– Dobrze wiesz, że twoja matka zrobiła sobie kuku, bo była psychiczna – wycedził, krzywiąc wargi. – A ty masz to po niej, bez dwóch zdań. Naprawdę dobrze ci radzę, zastanów się, zanim jeszcze raz odezwiesz się do mnie jak ostatnia chamka. Nie będę wdawał się w żadne dyskusje, tylko po prostu cię wydziedziczę. Cały majątek zapiszę na pierwsze schronisko dla psów, jakie znajdę w książce telefonicznej.

Angelique prychnęła jak kotka.

Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić swój majątek – miała ochotę wrzasnąć, ale zamilczała. Nie dbała o rodzinne pieniądze, które, zresztą, pod rządami Henry'ego topniały w zastraszającym tempie. Ale wspomniany majątek stanowiły w dużym stopniu rzeczy należące do matki. Ojciec pozował przed całym światem na zbolełego wdowca, ale prawda była taka, że dopóki słodka, łagodna Catherine żyła, nie powiedział jej dobrego słowa. Robił wszystko, żeby ją poniżyć i upokorzyć. Angelique nie miała wątpliwości, że spadek po żonie obdarzy równie małym szacunkiem, co ją samą. Przegra doszczętnie w karty albo, w przyływie chorej fantazji, faktycznie zapisze na jakiś absurdalny cel dobroczynny.

Nie mogła na to pozwolić.

Nadszedł czas, by przestała podejmować życiowe decyzje wbrew ojcu, a zaczęła bronić tego, co miało dla niej prawdziwą wartość. Nawet jeśli taki wybór oznaczał konieczność stanięcia oko w oko z Remy Caffarellim.

Finezyjnie rzeźbiona, gęsta krata z cedrowego drewna, chroniąca balkon o okrągłym sklepieniu, przesiewała niczym sito palące promienie zwrotnikowego słońca, dając rozkoszny półcień. Z uśmiechem czystego zadowolenia Remy wyciągnął się na obitym jedwabiem szezlongu i sięgnął po wysoką szklanekę pełną wody doprawionej pękiem liści świeżej mięty i szczyptą tajemniczych,

korzennych przypraw. Smak zimnego napoju był równie egzotyczny jak widok, który rozciągał się u stóp balkonu.

Biegnące aż po horyzont złociste pasma wydm o łagodnych kształtach plecionych niewidzialnymi, gorącymi palcami pustynnego wiatru... białe wieże miasta zagubionego wśród piasków, pod bladym od upału afrykańskim niebem... soczyście zielone kępy trzciny i pióropusze palm tam, gdzie pomiędzy rudych skał wypływała życiodajna woda.

Dharbiri – kraj równie mały, co bogaty dzięki drzemającym pod piaskami złożom surowców naturalnych, był jednym z ulubionych celów wypraw Remy’ego. Kiedy chciał odpocząć od zgiełku wielkich miast i szalonego tempa nowoczesnego życia, wpadał tu na kilka dni. Nie każdy Europejczyk byłby mile widziany w Dharbiri, ale też i nie każdy poznał w szkole średniej przyszłego władcę tego kraju, księcia Firasa Muhtadiego. Remy’ego spotkał ten zaszczyt – przez cztery lata dzielił pokój w elitarnym internacie z ciemnookim, wybitnie inteligentnym i zawsze skorym do żartów Firasem. Choć ich życiowe drogi zupełnie się potem rozeszły, przyjaźń przetrwała. Drzwi książęcego pałacu zawsze stały dla Remy’ego otworem.

Pociągnął kolejny łyk miętowego napoju, wsłuchując się w tęskną pieśń pustynnego wiatru. Dharbiri jawiło mu się jako miejsce zagubione nie tylko wśród piasków, ale i w czasie. Nawet jeśli słyszano tutaj o nowoczesnym porządku społecznym, niewiele sobie z tego robiono. Prawa panowały niemalże feudalne, niezmiennie od stuleci. Picie alkoholu było zakazane. Hazard był zakazany. Przebywanie w towarzystwie młodych kobiet, których nie pilnowały przyzwoitki, było bardzo surowo zakazane. Może dlatego właśnie przyjeżdżał tutaj, kiedy chciał spojrzeć na swoje życie z dystansu, pomedytować, „naładować akumulatory”. Po kilku dniach wracał do swojego świata, pełen nowej energii i kiełkujących pomysłów, jeszcze silniej przekonany, że życiowa droga, którą dla siebie wybrał, jest tą właściwą. Nie mógłby, jak Firas, ograniczyć swojej aktywności do jednego kraju, w dodatku takiego, którego granice można było objąć wzrokiem z balkonu pałacowej wieży. Był urodzonym kosmopolitą. Mieszkał głównie w hotelach, walizki miał zawsze spakowane. Owszem, lubił rodzinne Włochy, i co jakiś czas wpadał bez zapowiedzi do wiekowej rezydencji Caffarellich, żeby trochę podenerwować tego starego mizantropa, swojego dziadka. Jednak gdy tylko zwiertzył dochodowy interes, wyruszał w pogoń za zdobyczą, zawzięty jak ogar na tropie. Nade wszystko lubił zwyciężać. Zaskakiwać konkurentów, spychać ich do defensywy i bez skrępowań sięgać po wygraną.

Uniósł ramiona, przeciągnął się jak wielki syty kocur, i oparł głowę na splecionych dłoniach. O, tak, uwielbiał wygrywać, czy to w biznesie, czy przy karcianym stoliku. Ostatnie zwycięstwo, które odniósł w Vegas, przyniosło mu szczególną satysfakcję. Samo wspomnienie szoku, a potem bezsilnej wściekłości malującej się na poblądłej twarzy Henry’ego Marchanda, było... rozkoszne. Może to nie świadczyło o Remy’u najlepiej, ale w jego odczuciu zemsta miała naprawdę słodki smak. Marchand,

ten łajdak pozujący na nobliwego arystokratę, który w akcie czystej zawiści zrujnował Caffarellim interes roku, ba, może nawet dekady, wpadł prościutko w zastawioną na niego pułapkę. Remy spodziewał się tego, ale nawet w najśmielszych snach nie wymarzyłby sobie, że podczas licytacji stary dureń zastawi rzecz bezcenną – zabytkowy, szkocki zamek Tarrantloch, leżący w malowniczej, dzikiej dolinie Gór Kaledońskich.

Teraz Tarrantloch należało do niego, a Henry nie miał żadnej możliwości, żeby unieważnić transakcję zawartą przy karcianym stoliku. Zbyt wielu świadków widziało, jak zastawia posiadłość, a potem ją przegrywa. Jeżeli chciał uchodzić w międzynarodowym towarzystwie za człowieka honoru, musiał postąpić zgodnie z danym słowem.

Remy, wciąż uśmiechając się do siebie, wypił jeszcze jeden łyk odświeżającego napoju. Tarrantloch... już samo brzmienie tej nazwy budziło w nim jakiś przyjemny dreszcz. Korciło go, żeby pojechać tam od razu, napatrzeć się na wyniosłe szczyty gór, odetchnąć wilgotnym, zimnym powietrzem, przesyconym zapachem kosodrzewiny, przejść się pod kamiennymi sklepieniami zamkowych komnat. Ale postanowił, że odczeka pewien czas. Nie chciał dać Henry'emu nawet cienia satysfakcji, okazując, jak bardzo ceni sobie wygraną. Wolał zachować pokerową twarz, więc zamiast do Szkocji, udał się do Dharbiri. Tutaj, w zaciszu nieprawdopodobnie luksusowego, królewskiego pałacu, mógł rozkoszować się zwycięstwem. I snuć plany.

Dlaczego nie miałyby urządzić w Tarrantloch swojej głównej rezydencji? Własnego azyłu, miejsca, skąd wyruszałby na podbój świata? Mógłby tam jeździć konno, biegać, łowić ryby... a gdyby przyszła mu na to ochota, zapraszałby setkę gości i wydawał głośnie, szalone przyjęcia. Niech Henry Marchand pęknie ze złości. Zasłużył sobie na to. Gdyby strata Tarrantloch mogła dotknąć też jego rozpieszczoną córeczkę Angelique, byłby to bardzo pożądaný, choć raczej niespodziewany bonus.

Angelique. Remy był pewien, że to Henry wymyślił, by jedyną córkę nazwać z francuska, bo to podkreślało jego własne, ginące w pomroce dziejów arystokratyczne pochodzenie i mile łechtało próżność. Jednak imię było wyjątkowo niefortunnie dobrane. Małe, czarnowłose półdiabłę nie miało w sobie absolutnie niczego z anioła. Odkąd Remy pamiętał, panna Marchand działała mu na nerwy. Już jako kilkunastoletnia smarkula była wyszczekana, rozkapryszona i strasznie zadzierała nosa. Dziś na pewno zajmowała się głównie śledzeniem popularności swoich profili na portalach społecznościowych i zakupami w luksusowych domach mody. Miejscu tak odludnemu jak Tarrantloch nie poświęcała ani jednej myśli.

Angelique otworzyła butelkę wody, która niestety nie była zimna, tylko nieprzyjemnie ciepła, i wypła duszkiem dobre pół litra. Zaczynała odczuwać zmęczenie, a przecież musiała zachować siły. Jej przygoda dopiero się zaczynała.

Podróż do Dharbiri była nie lada wyczynem wymagającym pomysłowości, wytrwałości i całkiem

sporych pieniędzy. Ale o wiele łatwiej było przemierzyć tysiące kilometrów, znaleźć drogę w zatłoczonych labiryntach arabskich lotnisk i zrozumieć komunikaty dla podróżnych, wychrypiane w łamanej francuzczyźnie przez zdezelowane głośniki, niż dostać się za bramę królewskiego pałacu w stolicy, i zarazem jedynym mieście pustynnego kraiku.

– Księżę i jego małżonka nie spodziewają się dzisiaj gości. – Strzegący wejścia do pałacu wysoki śniady mężczyzna ubrany w udrapowaną na głowie tradycyjną arabską kefiję oraz płócienny strój, który mógł być uniformem lokaja albo mundurem wojskowym uszytym zgodnie ze wschodnią modą, nie miał najmniejszego zamiaru usunąć się, by wpuścić Angelique do środka. Marszcząc brwi z wyraźną dezaprobatą, otaksował jej europejskie ubranie – miała na sobie wąskie lniane spodnie i zakrywającą biodra czarną tunikę. Żeby nie urazić uczuć mieszkańców, narzuciła na głowę jedwabną chustkę, ale ten ukłon w stronę muzułmańskiej tradycji najwyraźniej zupełnie nie wystarczył. Była intruzem i strażnik nie widział powodu, żeby traktować ją inaczej jak z nieufnością.

– Nie proszę o audiencję u księcia ani o spotkanie z jego małżonką – powiedziała spokojnie, zmuszając się do uprzejmego uśmiechu, chociaż miała raczej ochotę wrzeszczeć i tupać. Nie była przyzwyczajona do tego, by kazano jej czekać pod drzwiami. – Przyjechałam z Europy, żeby zobaczyć się z panem Caffarellim, który jest gościem księcia Muhtadiego. Muszę pilnie omówić z nim... ważną sprawę rodzinną.

Chłodny, niemalże obojętny wyraz twarzy cerbera przy bramie nie zmienił się ani na jotę. Angelique poczuła, że ogarnia ją desperacja.

– Księżę i jego małżonka jedzą właśnie obiad razem z ich prywatnym gościem, panem Caffarellim – wyrzekł z namaszczaniem. Jego angielski był bezbłędny, jeśli nie liczyć twardego akcentu. – Zgodnie z protokołem, wszelkie ingerencje z zewnątrz są niedopuszczalne, chyba że chodzi o sprawy państwowe najwyższej wagi.

– Ale ja naprawdę muszę... – zaczęła z bezradnym uporem.

– Nie wejdzie pani do pałacu – uciał strażnik, odbierając jej wszelką nadzieję. – Chyba że na prośbę pana Caffarellego zostanie pani osobiście zaproszona przez księcia lub jego małżonkę.

– Rozumiem. Bardzo dziękuję za pomoc. – Angelique spuściła oczy, skrywając pod pozorem skromności błysk determinacji. Remy miałby załatwić jej wstęp do pałacu? Dobrze sobie! Prędzej piekło zamarznie, niż on cokolwiek dla niej zrobi, zwłaszcza w zaistniałej sytuacji... Nie, z całą pewnością nie dostanie się do środka przez główną bramę. Ale kto powiedział, że to jedyna droga?

Szczelniej okryła głowę chustką, choć jej czarne jak heban włosy nie stanowiły w tej szerokości geograficznej niezwykłego widoku. Przewiesiła przez ramię niewielką torbę podróżną i ruszyła rozpaloną od słońca kamienną uliczką wzdłuż wysokiego, pałacowego muru. Zgodnie z przewidywaniami rychło odkryła niewielką furtkę ukrytą w wąskim zaułku. Nie musiała długo czekać, by się przekonać, że główny ruch odbywał się tędy, a nie wielką bramą. Podczas gdy moźni

tego świata cieszyli się niczym niezmaconym spokojem, zwykli śmiertelnicy musieli pracować. Angelique wsunęła dłoń do kieszeni, zacisnęła palce na zwitku banknotów w miejscowej walucie, w które na wszelki wypadek zaopatrzyła się na lotnisku, i, przyczajona w cieniu, przygotowała się do akcji.

Nie odważyła się zaczepić od stóp do głów ubranej w czerń, starszej matrony, która spieszyła do pałacu, niosąc klatkę pełną rozkrzyczanych, kolorowych ptaków, ani dostawcy świeżych owoców pchającego wyładowany wózek. Ale kiedy zobaczyła dziewczynę, która zatrzymała się przed drzwiami, żeby ukradkiem pomalować usta czerwoną szminką, zrozumiała, że oto pojawiła się jej szansa.

Choć młodzianka pokojówka знаła tylko kilka francuskich wyrazów, a po angielsku nie mówiła wcale, dogadały się w mgnieniu oka. Wystarczyło, że Angelique wyjęła z torby nowiutką kasetkę cieni do powiek Diora, żeby zdobyć jej niepodzielną uwagę.

– Remy Caffarelli. – Angelique położyła dłoń na piersi, westchnęła rozdzierająco, po czym wykonała dramatyczny gest, wskazując widoczne zza muru okna pałacu. – Muszę się z nim zobaczyć. Pomóż mi – dodała, powoli i dobitnie wymawiając słowa.

– Remy Caffarelli! – Na ładnej, smagłej twarzy dziewczyny odmalowało się zrozumienie. – On piękny mężczyzna. Ty zakochana?

– Nie! – Kłamstwo byłoby zapewne opłacalne, ale nie przeszłoby Angelique przez usta. – Rodzinny problem. Ważna sprawa.

Dziewczyna z powagą skinęła głową. Kilka minut później, przebywszy na palcach labirynt dziedzińców i korytarzy, Angelique wśliznęła się w ślad za swoją przewodniczką do apartamentu zajmowanego przez gościa książęcej pary. Przysługa kosztowała ją nie tylko cienie do powiek, ale też markową odżywkę do włosów i komplet nowej jedwabnej bielizny w kolorze poziomkowym, ale najważniejsze, że dopięła swego. Teraz wystarczyło poczekać, aż Remy skończy ucztować i wróci do swoich komnat, a potem rozmówić się z nim konkretnie. Niech wie, że Angelique zamierza walczyć o swoje dziedzictwo. Przejmując Tarrantloch, nie tylko wzbogacił się o cenną nieruchomość, ale też ściągnął na siebie kłopoty. Już jej w tym głowa, żeby te kłopoty nieznośnie zatruły mu życie.

Z westchnieniem ulgi odetchnęła chłodnym powietrzem, przesyconym nutami cedru, mięty i limonki. Po wielogodzinnej podróży i spacerze w spiekocie i pyle wąskich uliczek Dharbiri, z rozkoszą wyciągnie się na obitym jedwabiem szezlongu...

– Nie, proszę pani! – Pokojówka ostrzegawczo uniosła dłoń. – Samotna kobieta w męskim pokoju, to zabronione! Trzeba się schować. Nikt nie może tu pani zobaczyć, tylko pan Caffarelli!

Angelique chciała powiedzieć, że zabawy w chowanego przestały ją interesować, odkąd skończyła gimnazjum, ale zmilczała. Przedostanie się do pałacu nie było sprawą prostą, więc wołała nie

ryzykować, że wróci do punktu wyjścia, wyrzucona za bramę jak pospolita włamywaczka. Już lepiej zastosuje się do polecenia pokojówki, która, rozejrzawszy się ostrożnie dookoła, zniknęła w głębi korytarza. Tylko – gdzie się schować? Salon z miękkim wzorzystym dywanem, przepastną sofą dźwigającą furę haftowanych poduch i filigranowym stolikiem do kawy nie oferował żadnej kryjówki. Krzywiąc się z niesmakiem, odsunęła ażurową zasłonę, za którą znajdowała się sypialnia. Naprawdę wolałaby tam nie wchodzić, ale chyba nie miała wyboru. Ściskając pod pachą swoją podróżną torbę, przebiegła przez pomieszczenie, starając się nie potknąć na rozrzuconych po podłodze osobistych rzeczach lokatora. Po krótkim namyśle zrezygnowała z zamknięcia się w łazience – drzwi do niej, szeroko otwarte, ukazywały zachlapaną podłogę i nieprawdopodobny wręcz bałagan – oraz z wślizgnięcia się za zasłonę okna, bo byłaby doskonale widoczna z zewnątrz. Pozostawała wielka wnękowa szafa. Cóż, nie była to może najbardziej oryginalna kryjówka, ale jej potrzebom odpowiadała idealnie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Remy zamknął za sobą drzwi do apartamentu, poluzował krawat i odetchnął z ulgą. Obiad w towarzystwie Firasa, jego uroczej żony i sędziwego ojca był zaszczytem i prawdziwą rozkoszą dla podniebienia, ale sztywny protokół, którego trzeba było przestrzegać, uwierał niemal równie dotkliwie, co ciasno zawiązany krawat. Na szczęście, oficjalnym wymogom stało się już zadość, i przez najbliższe dni będzie wolny jak samotny sokół na pustyni. Czując wzbierającą w sercu dziką radość, podszedł do okna i otworzył je na oścież. Nad Dharbiri zapadał już zmierzch, malując niebo szerokimi pasami złota i purpury. Zamierzał posiedzieć jeszcze godzinę przy komputerze, sprawdzić pocztę i załatwić najpilniejszą korespondencję. Potem wyjdzie sobie jeszcze na chwilę na balkon, wypróbuje nową fajkę wodną, którą tak zachwalał Firas, i poobserwuje gwiazdy. Nigdzie nie były tak bliskie, tak wyraziste i piękne jak tutaj, ponad bezkresną pustynią. Nazajutrz planował wstać o świcie; był już umówiony ze stajennym, który miał mu osiodłać jednego z hodowanych w Dharbiri ogierów pełnej krwi arabskiej. Gdy chodziło o relaks, nic nie mogło się równać z kilkugodzinną przejażdżką wśród piaszczystych wydm, rudych skał i gęstych krzewów porastających brzeg przecinającego pustynię strumienia.

Angelique nie mogła już dłużej walczyć z uczuciem, że po jej zdrętwiałej nodze wędrują tabuny wściekłych mrówek. Musiała usiąść choć trochę wygodniej. Wstrzymała oddech i przesunęła się, tak ostrożnie, jak tylko mogła. Na szczęście w szafie było dużo miejsca, bo Remy nie zadał sobie trudu, żeby pochować lub chociażby poskładać swoje ubrania. Przez szczelinę w drzwiach widziała je wyraźnie, wysypujące się z porzuconej na podłodze podróźnej torby i zwieszające się niczym jężory lawy z niepościelonego łóżka. Widziała też kałużę na posadzce łazienki, i żałośnie w niej moknący, pomięty ręcznik. Cóż, nic dziwnego. Najwyraźniej służba nie zajęła się jeszcze komnatami wielmożnego pana Caffarellego, a on sam był tak rozwydrzonym bogaczem, że nie raczył po sobie posprzątać. A może nie potrafił? Ona, jeśli chodziło o ścisłość, też nie wyrosła w biedzie, ale przynajmniej była w stanie się rozpakować i ułożyć rzeczy w szafie, a kiedy brała prysznic, nie zostawiała łazienki wyglądającej jak po przejściu tornada. Po prostu bogactwo psuło niektórych bardziej niż innych, ot i cały morał, jaki płynął z tego porównania. Remy Caffarelli był zepsuty do szpiku kości.

Jej rozważania przerwał odgłos kroków. O wilku mowa! Dobrze, że zdążyła już umościć się w wygodniejszej pozycji, bo nie chciała, żeby Remy za wcześnie odkrył jej obecność. Wołała się najpierw przekonać, że wrócił do pokoju sam, i nie czeka na żadną wizytę. Przyczajona w półmroku, nasłuchiwała. W przyległym do sypialni salonie skrzypnęło okno, które musiało zostać otwarte na

oścież, bo nawet do niej dotarła fala chłodnego powietrza i nieznanne odgłosy pustynnej nocy. Remy odetchnął głęboko, swobodnie, z wyraźnym zadowoleniem. Angelique z łatwością mogła sobie wyobrazić, jak ten oddech unosi jego szeroką, umięśnioną klatkę piersiową. Może, stojąc w oknie, rozpiął guziki koszuli, by wieczorny wiatr chłodził jego nagą skórę? Przygryzła wargę. Szła o zakład, że był opalony na piękny odcień złocistego brązu. W jakimś plotkarskim piśmie przeczytała niedawno, że najmłodszy z braci Caffarellich uwielbiał żeglarstwo. Ilustrująca artykuł fotografia nie pozostawiała wątpliwości co do tego, jak poważnie Remy traktował swoje hobby – jego oceaniczny jacht nie należał ani do małych, ani do skromnych. Na pokładzie, pod wzdymanymi wiatrem żaglami, właściciel prezentował nagi tors. Angelique nie mogła wyrzucić z pamięci tego widoku, tak ją zdenerwował. Do kapitana wdzięczyły się dwie blondwłose piękności w strojach, które można było chyba uznać za marynarskie, ale dopiero po obejrzeniu ich przez szkło powiększające, bo były tak skape, że ledwie zakrywały bujne damskie wdzięki...

Musiała podjąć świadomy wysiłek, żeby przestać myśleć o nagim torsie mężczyzny w sąsiednim pomieszczeniu. Powinna raczej skupić się na tym, co mu powie, gdy wreszcie, po niemal dziesięciu latach, znów staną twarzą w twarz. Usłyszała nagły, głośny syk otwieranej puszkę z gazowanym napojem. Piwo? Taki *bon vivant* jak Remy z pewnością lubił kończyć dzień, sącząc drinka. Ale nie tutaj, nie w Dharbiri. Alkohol był w tym kraju surowo zakazany. Wiedziała o tym, bo na lotnisku drobiazgowo przeszukano jej bagaż, nie dając wiary zapewnieniom, że nie wiezie ze sobą żadnych procentowych trunków. Cóż, może i wyglądała na miłośniczkę szalonych imprez, ale prawda była taka, że prawie w ogóle nie piła alkoholu. Miał o wiele za dużo kalorii, a ona musiała się wywiązywać z kontraktów. Nie mogła sobie pozwolić na choćby gram zbędnego tłuszczu na brzuchu czy pomarańczową skórę. Remy z całą pewnością nie był równie wstrzemięźliwy; tabloidy nieraz opisywały skandaliki, do których dochodziło podczas imprez z jego udziałem. Niefrasobliwy, bezwstydnym playboy – oto, kim był wielmożny pan Caffarelli!

Marszcząc brwi z dezaprobatą, wsłuchiwała się w dochodzące z salonu odgłosy. Sygnał odegrany przez uruchamiający się system laptopa. Ciche, szybkie stukanie klawiszy. Angelique niemalże widziała dłonie Remy'ego, duże, męskie dłonie o długich palcach, zręcznie przebiegające po klawiaturze, wystukujące tekst. Te dłonie na pewno potrafiły być brutalnie silne, ale też delikatne i czułe, gdy dotykały ciała kochanki... Powiedziała sobie zdecydowanie, że musi przestać zawracać sobie głowę głupotami, i wtedy dobiegł ją jego cichy śmiech. To był naprawdę bardzo ładny śmiech, miał bardzo miły dla ucha ton – głęboki i miękki, przywodzący na myśl pomruk wodospadu wśród rozpalonych słońcem kamieni. Zasłuchana, pomyślała o ustach Remy'ego. Dobrze pamiętała ich zmysłowy kształt, i to, jak układały się w półuśmiech, lekko rozbawiony, zawsze nieco arogancki. Kiedy była smarkatą nastolatką, uparcie i skrycie marzyła o pocałunkach tych ust, o żarliwych wyznaniach miłosnych, szeptanych przez te męskie, pięknie wyrzeźbione wargi. Dzisiaj nie snuła już

takich fantazji, ale, nawet jako twardo stąpająca po ziemi realistka, mogła przecież obiektywnie doceniać ładny widok. A Remy Caffarelli, cokolwiek by o nim myśleć, do brzydkich nie należał. Po włoskich przodkach odziedziczył złocistą karnację i szlachetne, harmonijne rysy twarzy, o rzymskim profilu i ciemnych, śmiałych łukach brwi pod wysokim czołem. Ale że w jego żyłach płynęła także krew frankońskich wojowników, mierzył ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, sylwetkę miał smukłą i mocną, włosy kędzierzawe, o kasztanowym połysku, a w ciemnych tęczówkach – zielone plamki. Tak, Remy Caffarelli był pięknym mężczyzną. Co nie zmieniało faktu, że był paskudnym, zarozumiałym egocentrykiem. Rozmowa z nim na pewno nie będzie należała do przyjemnych; im prędzej ją przeprowadzi, tym lepiej. Zapadał wieczór, a ona musiała jeszcze wrócić do miasta i znaleźć jakiś hotel, w którym będzie mogła zatrzymać się na noc.

Uniosła rękę, zdecydowana pchnąć drzwi szafy i ujawnić się, ale zastygła w pół gestu, czujna, nagle zaniepokojona. Z korytarza wyraźnie dobiegał gwar kilku podniesionych głosów. W następnej chwili rozległo się pukanie – krótka seria szybkich, zdecydowanych uderzeń w grube drewno wejściowych drzwi.

– Panie Caffarelli, bardzo nam przykro, że niepokoiimy pana o tak późnej porze.

Głos był męski, pełen formalnej, bezosobowej uprzejmości i skrywanego napięcia. Angelique pozwoliła sobie na cichutkie westchnienie ulgi. A więc to nie żadna sekretna schadzka ani towarzyskie spotkanie, które mogłoby ciągnąć się godzinami, tylko oficjalna sprawa, z którą przysłano pałacowych famulusów. Załatwią ją w minutę, a potem znikną, gnąc się w ukłonach.

– Żaden kłopot. – W tonie głosu Remy’ego słychać było lekkie roztargnienie. – W czym mogę panom pomóc?

Angelique przysunęła się do szpary w drzwiach szafy i wyjrzała na zewnątrz. Niestety, z miejsca, w którym tkwiła, nie było widać drzwi salonu, nie mogła więc przyglądać się scenie, która zapewne była malownicza. Trudno, pozostawało jej zamienić się w słuch.

Póki co w salonie trwała pełna napięcia cisza. Przedstawiciel pałacowej służby odchrząknął z wyraźnym wahaniem, jakby krępował się wyłuszczyć, z czym przyszedł.

– Książęca straż otrzymała wiadomość, że w pańskim apartamencie znajduje się młoda kobieta – powiedział wreszcie. Angelique wstrzymała oddech.

– Co takiego? – Remy wybuchnął szczerym, swobodnym śmiechem. – Czy to ma być żart?

– Bynajmniej. – Ton głosu strażnika nie zmienił się ani na jotę. – Jak pan dobrze wie, tutejsze prawo nie dopuszcza, by mężczyzna przyjmował w swojej prywatnej kwaterze kobietę, o ile parze nie towarzyszy przyzwoitka. Oczywiście nie tyczy się to przypadków, gdy rzeczona kobieta jest jego małżonką albo siostrą. Mamy uzasadnione podejrzenia, że przebywa tu młoda dama, której nie łączą z panem więzy bliskiego pokrewieństwa ani związek małżeński.

– Jak raczył pan słusznie zauważyć, dobrze wiem, jakie jest prawo w Dharbiri. – W głosie Remy’ego chłód zastąpił rozbawienie. – Mam honor być przyjacielem księcia Muhtadiego i nigdy nie obraziłbym go brakiem szacunku dla tradycji jego kraju. Zapewniam ponadto, że okres burzy hormonów mam już dawno za sobą i potrafię się opanować. Nawet gdybym miał życzenie, by spędzić noc z kobietą, nie folgowałbym mu tutaj, gdzie jestem gościem. Poczekałbym, aż znajdę się w miejscu, gdzie takie obyczaje... nikogo nie rażą.

– Oczywiście – powiedział strażnik tonem, który wskazywał wyraźnie, że sprawa nie jest dla niego ani trochę oczywista. – Wszelako, ponieważ widziano, jak jedna z młodych pokojówek ukradkiem wpuszcza do pańskiego apartamentu młodą kobietę ubraną z europejska, zmuszony jestem prosić, żeby pozwolił pan przeszukać wnętrze. Mamy szczerą nadzieję, że to tylko przykre nieporozumienie, które szybko wyjaśnimy.

– Ależ proszę, sprawdzajcie, co tylko chcecie – powiedział Remy tonem człowieka, który nie zamierza sprzeciwiać się wariatom. – Zaręczam, że poza mną nikogo tutaj nie ma.

Angelique wcisnęła się w kąt szafy. Naprawdę wolałaby nie zostać odkryta przez książęcą straż i wyrzucona z pałacu jako skandalistka. W dodatku przez nią Remy wyszedłby na bezczelnego kłamcę. Na jego reputacji, co prawda, nie zależało jej ani trochę, ale o swój komfort psychiczny lubiła dbać, a że miała wrodzone poczucie sprawiedliwości, czułaby się z tym co najmniej kiepsko. Uczepiła się nadziei, że strażnicy potraktują przeszukanie jako czystą formalność i nie będą wnikliwi. Niestety, w następnej chwili ta nadzieja rozwiała się. Drzwi otworzyły się na oścież i w salonie dały się słyszeć kroki kilku par nóg. Rozsuwano zasłony w oknach, wyglądano na balkon. Ktoś nawet przesunął sofę. Nie myśleli chyba poważnie, że ktokolwiek mógłby się kryć, rozplaszczony pod nią?!

– Myślę, że to wystarczy. – Remy zaczynał tracić cierpliwość. – Skoro już przekonali się panowie, że nikogo tu nie ma, proponuję, żebyśmy powiedzieli sobie „dobranoc” i udali się na spoczynek.

– Oczywiście, proszę pana. Gdy tylko skończymy przeszukanie – padła nienagannie uprzejma, lecz stanowcza odpowiedź. Potem dało się słyszeć kilka poleceń wypowiedzianych w języku, który brzmiał twardo i gardłowo, a w następnej chwili strażnicy wkroczyli do sypialni. Angelique struchlała. Czowała się jak pasażer jadący na gapę, gdy w autobusie pojawiają się kontrolerzy. Wiedziała, że ją odkryją. To była tylko kwestia czasu.

Strażnicy przeszukiwali pokój metodycznie. Widziała przez szparę, jak jeden z nich lustruje łazienkę, inny zagląda pod wielkie łóżce, a nawet unosi przykrywającą je, haftowaną narzutę. Kolejny ruszył zdecydowanym krokiem w stronę szafy. Angelique zacisnęła powieki, jak dziecko, które wierzy, że jeśli ono kogoś nie widzi, nie będzie też widziane przez niego.

– Nie myślcie chyba poważnie, że ukrywam dziewczynę w szafie?! – parsknął Remy. – Stać by mnie było na wymyślenie czegoś mniej banalnego.

Strażnicy zignorowali jego uwagę. W następnej chwili drzwi szafy otworzyły się gwałtownie, wpuszczając do środka potok światła. Angeliqne była – niemalże dosłownie – przyparta do muru. Za plecami miała twarde dno szafy, przed sobą: czterech pałacowych strażników ze srogimi minami i Remy’ego, który jeszcze jej nie zobaczył, bo właśnie z niecierpliwością spoglądał na zegarek.

Przyparta do muru zrobiła to, co zawsze robiła w podobnej sytuacji. Zaatakowała.

Wyprostowała się, wystudiowanym, efektownym gestem odrzuciła włosy na plecy i wyszła z szafy, stając rozkołysanym krokiem, jak gdyby była na wybiegu, w blasku fleszy. Uniosła dłoń i uśmiechnęła się promiennie.

– Niespodzianka!

ROZDZIAŁ TRZECI

Remy Caffarelli oniemiał. Oto jego oczy rejestrowały widok, którego umysł w żaden sposób nie potrafił ogarnąć. Był wszak w Dharbiri, kraiku zagubionym pośrodku pustyni. Mało tego, znajdował się w książęcym pałacu, strzeżonym jak fort Knox. A przecież widział wyraźnie, że z szafy wyłania się, nie kto inny, tylko Angelique Marchand. Ze swoim firmowym, bezczelnym uśmiechem na ustach.

W pierwszej chwili pomyślał, że zaraz się dowie, że padł ofiarą wyjątkowo kiepskiego żartu, który został nagrany ukrytą kamerą. W następnej, widząc szok i oburzenie na twarzach strażników, pojął, że cała sytuacja absolutnie nie należy do zabawnych.

– Co ty wyprawiasz? – wyrzucił z siebie. – Co robisz w mojej szafie?

Angelique przeszła jeszcze kilka kroków, mijając strażników, którzy stali nieruchomo, jakby zamienili się w słupy soli. Każdy jej ruch był niczym poemat. Jaka piękna katastrofa, przemknęło Remy'emu przez myśl, kiedy na nią patrzył. Rozkołysane biodra, smukłe nogi, płynny chód jak u akrobatki stąpającej po linie. Strome piersi, zawadiacko rysujące się pod cienkim materiałem tuniki. Głowa uniesiona wysoko, po królewsku, stalowoszare oczy spoglądające chłodno spod długiej aż do linii brwi, ciemnej grzywki. Drobną twarz w kształcie serca, z maleńkim, lekko zadartym noskiem i wyzywająco seksownymi ustami o pełnych wargach...

Te usta skrzywiły się lekko, kiedy ich właścicielka stanęła naprzeciwko Remy'ego.

– Tyle masz do powiedzenia na powitanie? – rzuciła z przyganą. – Wstydz się. Myślałam, że masz lepsze maniery.

Remy Caffarelli pochlebiał sobie, że potrafi zachować zimną krew w każdych okolicznościach. Wyzwania raczej cieszyły go, niż stresowały, a w chwilach, gdy każdemu innemu puszczały nerwy, jemu wciąż dopisywał humor.

Ale wobec tej diablicy Angelique był bezsilny. Sam jej widok sprawiał, że wściekłość zaczynała w nim płonąć jak ogień w hutniczym piecu. Rozpuszczona, zapatrzona w czubek własnego nosa i chyba niespecjalnie skłonna do pogłębionej refleksji, prezentowała kuriozalną beztroskę w sytuacji, która mogła się okazać naprawdę niebezpieczna. Dla nich obojga. Przez jej idiotyczny wybryk, którego sensu nie mógł zrozumieć, wyszedł na kłamcę, człowieka bez honoru. A honor był w Dharbiri wszystkim.

Mógł stracić przyjaźń Firasa. A nawet jeśli książę zechciałby uwierzyć, że Remy nie zamierzał zlekceważyć miejscowej tradycji, wykroczenie pozostawało wykroczeniem. Mógł zostać deportowany, stać się na zawsze *persona non grata* w tym miejscu, które było jego ulubionym azylem. Angelique z pewnością nie zdawała sobie sprawy, że ryzykuje nieporównanie więcej. Za

wkradnięcie się na teren książęcego pałacu oraz nieobyczajne zachowanie, za jakie uważano tu przebywanie w mieszkaniu mężczyzny, mogła zostać, na przykład, ukarana chłostą.

Chociaż szczerze nie cierpiał tej dziewczyny, myśl, że mogłaby zostać fizycznie skrzywdzona, budziła jego gwałtowny sprzeciw.

– Panie Caffarelli? – Zwierzchnik straży pałacowej otrząsnął się z osłupienia i przywołał na twarz bezosobowy wyraz służbisty. – Jeśli ta młoda kobieta jest pana krewną lub małżonką, proszę, by zechciał pan złożyć teraz stosowne oficjalne oświadczenie. Jeśli nie, zostanie ona natychmiast zatrzymana, by ponieść odpowiedzialność karną za swój czyn.

Zatrzymana? Odpowiedzialność karna? O, nie. Remy nie miał zamiaru na to pozwolić. Pocieszając się myślą, że prędzej czy później sam się z nią policzy, przystąpił do działania.

– Chciałbym wyrazić ubolewanie z powodu tego zajścia – zaczął z szerokim, pojednawczym uśmiechem. – Wygląda na to, że moja narzeczona postanowiła zrobić mi niespodziankę, pojawiając się bez zapo...

– Narzeczona?! – Angeliقة prychnęła jak rozwścieczona kotka. Niewiele myśląc, chwycił jej dłoń i mocno ścisnął.

– Wiem, kochanie, że mieliśmy utrzymać nasze zaręczyny w sekrecie – powiedział szybko, zanim zdołała otworzyć te swoje koralowe usteczka i do reszty wszystko zepsuć. – Ale to jest szczególna sytuacja, a ci panowie na pewno zechcą... uszanować naszą prywatność. Paparazzi o niczym się nie dowiedzą.

– Jakie zaręczyny...? – wyrzuciła z siebie, ale nie dał jej dokończyć. Zręcznym ruchem wytrawnego tancerza obrócił się, wciąż trzymając ją za rękę, zmuszając, żeby stanęła za jego plecami.

– Proszę wybaczyć mojej narzeczonej – zwrócił się do zwierzchnika straży, strojąc głos na ton polubowny. – Sam pan rozumie, kobiety! Potrafią być czasami takie impulsywne. I nieprzewidywalne.

– Rozumiem. – Twarz strażnika pozostała nieruchoma; widać było, że nie zamierza zrobić najmniejszego wysiłku, by cokolwiek zrozumieć. – Jednakże mam obowiązek przypomnieć panu, że zgodnie z naszym prawem narzeczeni nie mogą przebywać razem, o ile nie towarzyszy im przyzwoitka.

– Skoro tak, poprosimy którąś z dam dworu, żeby zechciała podjąć się tego obowiązku – rzucił Remy swobodnie, ale jego palce wciąż zaciskały się, niczym kleszcze, na nadgarstku Angelique. Moja narzeczona, niestety, nie będzie mogła zabawić długo w Dharbiri. Prawda, kochanie?

– Och, sama zdecyduje, kiedy zakończyć tę... interesującą wizytę – syknęła, lecz gdy pociągnął ją do przodu, obróciła się płynnie, jak w tańcu, i pozwoliła mu objąć się ramieniem. Zerknęła na niego spod rzęs; w jej oczach lśniła mordercza wściekłość.

Zwierzchnik straży zmierzył ich oboje zimnym spojrzeniem.

– Będę zmuszony poinformować mojego mocodawcę o okolicznościach wizyty pańskiej narzeczonej – powiedział sztywno. – Jeśli któreś z państwa ma pilne sprawy do załatwienia poza granicami naszego kraju, radzę je odwołać. Aby nie doszło do skandalu, będą państwo mogli opuścić pałac dopiero po ceremonii zaślubin, jako mąż i żona.

– Mąż...? – wydukała Angelique.

– ...i żona?! – sapnął Remy.

Oficjel nie odpowiedział. Spomiędzy sutych fałd swojego tradycyjnego stroju wyjął całkowicie nowoczesną krótkofalówkę, odszedł kilka kroków i zaczął mówić półgłosem, w obcym języku o twardym, gardłowym brzmieniu.

– On żartował, prawda? – w szeroko otwartych oczach Angelique malował się szok. – To musi być żart!

– Niestety, zapewniam cię, że to nie jest żaden żart. – Remy ściszył głos do szeptu. – Musimy się dostosować. I przede wszystkim zachować spokój.

– Spokój?! – wysyczała wściekle, mrużąc oczy w szparki. Na szczęście miała dość rozumu, żeby nie wrzeszczeć. – Mam zachować spokój? I może jeszcze pozwolić, żeby połączono nas tu świętym węzłem małżeńskim? Prędzej umrę, niż zostanę twoją żoną!

– Cóż, może się okazać, że dokładnie taki masz wybór. – Wytrzymał jej spojrzenie. – Chyba zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy w tej chwili bardzo daleko od Europy? Mam nadzieję, że przed wyjazdem sprawdziłaś w Wikipedii, jakie zwyczaje panują w tym pięknym kraju.

– Ja... – Wściekłość w pięknych szaroniebieskich oczach przygasła, zdławiona autentycznym strachem. – Nie myślałam...

– To jasne, że nie myślałaś. Znakomicie ci poszło to niemyślenie. Moje gratulacje – prychnął.

Otworzyła usta, ale widocznie nie znalazła słów, bo tylko przygryzła wargę. Z mimowolną satysfakcją patrzył, jak zaciska swoje drobne dłonie w pięści, gestem bezsilnej frustracji. Jej kształtne, migdałowe paznokcie były pomalowane na głęboki fiolet.

– Słyszałam, że jesteś serdecznym przyjacielem tutejszego księcia – powiedziała wreszcie. – Wystarczy, że z nim porozmawiasz...

– Niestety, nie wystarczy. – Remy pokręcił głową z westchnieniem. Wielokrotnie rozmawiał z Firasem na ten temat, a raczej wysłuchiwał jego skarg na bezsilność wobec konserwatywnej rady starszych, która była organem ustawodawczym w Dharbiri. – Książę rządzi krajem, ale sam musi przestrzegać prawa.

– Ale to prawo jest absurdalne! Po prostu śmieszne! Czy ci ludzie myślą, że żyją w epoce kamienia łupanego?! – nie wytrzymała.

– Proszę bardzo, możesz wyrzaskiwać inwektywy pod adresem naszych gospodarzy. – W przeciwieństwie do Angelique, Remy nie podniósł głosu. – Ale nie licz na to, że wezmę cię w obronę, kiedy ich naprawdę rozeźlisz.

Zamilkła. Remy pomyślał przelotnie, że ten wyjątkowy fakt należałoby odnotować na wieczną pamiątkę.

– Panie Caffarelli? – Dowódca straży zakończył rozmowę i schował radiotelefon. – Poprosiłbym teraz o dokumenty obojga państwa, będą potrzebne do sporządzenia aktu małżeństwa. Ceremonia zaślubin odbędzie się jutro. Służba pałacowa przygotowuje właśnie specjalny apartament dla pańskiej narzeczonej. Rozumie pan oczywiście, że pod żadnym pozorem nie może ona spędzić nocy tutaj.

– Ależ oczywiście. – Remy uśmiechnął się swobodnie. Akurat perspektywa pozbycia się Angelique Marchand z pokoju nie martwiła go ani trochę. Im prędzej jego nieproszony gość zniknie, tym lepiej. – Proszę jeszcze raz przyjąć wyrazy ubolewania z powodu całej tej niefortunnej sytuacji. Moja narzeczona jest osobą impulsywną i zdarza jej się popełniać błędy. Jestem jednak pewien, że małżeńską przysięgę posłuszeństwa mężowi potraktuje poważnie i nauczy się opanowywać wrodzoną krnąbrność.

Kątem oka zobaczył, jak na policzki Angelique wypływa rumieniec wściekłości. Dobrze ci tak, pomyślał mściwie. Skoro władowała go w tę kabałę, musi za to zapłacić. Niech przynajmniej nacieszy oczy widokiem jej bezsilnego gniewu.

Uniosła głowę tak gwałtownie, że włosy sfrunęły jej na plecy. Oczy, zwężone w szparki, ciskały lodowate błyskawice. Zacisnęła mocno zęby. Jej piersi falowały, unoszone urywanym oddechem.

O, tak, ten widok był naprawdę... interesujący. Szkoda, że nie mogli choć na chwilę zostać sami, bo Remy poczuł nagle, że jest bardzo ciekaw, jak wyglądałby jej gniew, gdyby przestała się kontrolować. Nie była to ciekawość czysto intelektualna; towarzyszyło jej coraz potężniejsze, pulsujące napięcie w łądźwiach. Zmełł w ustach przekleństwo.

Choć pochlebiał sobie, że ma silną wolę, wobec Angelique czuł się irytująco bezradny. Teraz, na przykład, pomimo szczerych chęci nie potrafił oderwać od niej wzroku. Strój, choć jak na nią całkiem skromny – ciemna jedwabna tunika z niewielkim dekoltem, lniane spodnie cygaretki i lekkie, ażurowe pantofle – nie maskował linii jej figury.

Miała najpiękniejszą figurę, jaką Remy kiedykolwiek widział. Kształty jej ciała były... nie tyle idealne, co nieodparcie kuszące, prowokujące niespokojnymi liniami, łączącymi smukłą delikatność i pełne, jędrne krągłości. Kiedy na nią patrzył, niemal zgadzał się z naukami brodatych mnichów, którzy głosili, że kobieta jest narzędziem szatana. Jej wdzięki miały hipnotyzującą moc. On sam żył w stanie głębokiej hipnozy już od kilku lat i podejrzewał, że w podobnej kondycji znajduje się

większość mężczyzn w Europie. Wciąż pamiętał dzień, gdy po raz pierwszy zobaczył billboard z jej roznieglizowanym zdjęciem. Reklama wyeksponowana była przy autostradzie, a on siedział za kółkiem i omal nie stracił panowania nad pojazdem. Dziewiętnastoletnia wtedy Angelique Marchand przeciągała się leniwie, po kociemu, upozowana na skraju luksusowego basenu, mocząc palce stóp w spokojnej, szmaragdowej wodzie, której tafla zdawała się zlewać ze znajdującym się dalej oceanem. Prezentowała kostium kąpielowy, który składał się z trzech mikroskopijnych skrawków materiału, i naprawdę niewiele pozostawiał domyślności. Była zjawiskowa. Tryskała młodością, niefrasobliwym pięknem i zadziornym, wyzywającym seksapilem.

Zapatrzony w nią, pomyślał, że od tamtego dnia nie zmieniła się ani trochę, i nie dziwiło go to. Zdumiony był tylko faktem, że po tylu latach pojawiła się przed nim osobiście, w dodatku w okolicznościach rodem z jakiegoś wariackiego snu. Zawsze wiedział, że jest postrzelona, ale dotąd nie doceniał skali zjawiska.

Tymczasem Angelique opanowała gniew. Remy patrzył z mimowolnym podziwem, jak spuszcza oczy, robi niewinną minkę i splata dłonie na piersi, po mistrzowsku udając skromność i zakłopotanie. Była przecież supermodelką o światowej sławie i potrafiła na żądanie przyjąć dowolną pozę, niezależnie od emocji, jakich akurat doświadczała.

– Bardzo przepraszam za śmiałość – zwróciła się do zwierzchnika straży, trzepocząc rzęsami, gęstymi niczym dwa wachlarze. – Czy byłby pan tak łaskaw i pozwolił mi zamienić prywatnie kilka słów z moim, hm, narzeczonym? Może zgodziłby się pan podjąć roli naszej przyzwoitki i przypilnował nas, pozostając w salonie? Drzwi do tego pokoju oczywiście zostawimy uchylone, żeby wymogom prawa stało się zadość.

Cóż, widocznie nie tylko w Europie potrafiła hipnotyzować. Oficjel wyprężył się na baczność, skinął głową krótkim, żołnierskim gestem, zrobił w tył zwrot i wymaszerował, a za nim podążyli podwładni.

Angelique w jednej chwili porzuciła ugrzecznioną postawę.

– Nie patrz na mnie takim wzrokiem – uprzedził jej atak. – Dobrze wiesz, że sama jesteś sobie winna.

– Narzeczona?! – wyrzuciła z siebie, nacierając na niego jak furia. – Co ci przyszło do głowy? Mogłeś przecież powiedzieć, że jestem twoją siostrą! Albo kuzynką.

– Nie mogłem. – Pokręcił głową, siłąc się na cierpliwość. – Wszyscy wiedzą, że najmłodsze pokolenie Caffarellich to trzech braci i że zostaliśmy osieroceni w młodym wieku. Żadne z moich rodziców nie miało rodzeństwa, więc kuzynów też brak. Zarzucono by nam kłamstwo. O wiele trudniej będzie udowodnić, że nie połączyła nas wielka dozgonna miłość. Zwłaszcza jeżeli dobrze odegramy nasze role.

– Wielka, dozgonna miłość? – Angelique miała wrażenie, że udławi się tymi słowami. – Mam

odgrywać zakochaną? W tobie?

– Zawsze możesz oddać się w ręce władz, jeżeli wolisz – warknął. – Nie wiem, po co tu przyjechałaś. Ale nawet ty powinnaś mieć dość rozumu, żeby zdać sobie sprawę, że jesteś w niebezpieczeństwie, i przestać choć na chwilę kapryścić jak primadonna.

– Właśnie chciałam ci powiedzieć, po co przyjechałam. – Posłała mu harde spojrzenie. – Chodzi o Tarrantloch. Musisz je zwrócić, rozumiesz? Nie masz żadnego prawa do tej posiadłości i wiedz, że nie pozwolę, by ot tak, dostała się w twoje ręce.

– Cóż, trochę na to za późno. Twój ojciec podpisał już dokument, w którym przekazuje mi tę nieruchomość. Muszę powiedzieć, że to dość żalosne zagranie z jego strony nasyłać na mnie córeczkę, żeby użyła swoich wdzięków i wzięła mnie na litość.

– Co?! Co takiego? – Aż podskoczyła. – Myślisz, że jestem tu, żeby cię kokietować? W dodatku na polecenie ojca? Nigdy bym się do tego nie zniżyła, ty zadufany w sobie bucu! Jesteś ostatnim mężczyzną na kuli ziemskiej, którego miałabym ochotę uwieść.

– I nawzajem, kochanie. Ja też nie jestem tobą w najmniejszym stopniu zainteresowany – powiedział, przybierając ton człowieka głęboko znudzonego.

Oczekiwał, że usłyszy kolejną porcję inwektyw. Zdumiał się, kiedy nie powiedziała nic. Zdawało mu się, że stalowy błysk w jej oczach przygasł na ułamek sekundy, zastąpiony cieniem niepewności, a może nawet żalu. Zacięty wyraz jej ust złagodniał, zmiękł, kiedy rozchyliła w westchnieniu swoje pełne, cudownie zmysłowe wargi. Ale już w następnej chwili usztywniła ramiona, zmarszczyła brwi, a usta wyduła w tyleż seksowny, co niemożliwie wręcz irytujący sposób.

– Nie wyjdę za ciebie za mąż. – Pokręciła głową energicznie, z uporem, jak mała dziewczynka. – Nie mogę sobie wyobrazić niczego gorszego niż bycie twoją... – zająknęła się, jakby to słowo było szczególnie trudne do wymówienia – ...żoną!

Pomyślał o więziennych celach w podziemiach dharbirskiej twierdzy, które, choć liczyły sobie kilkaset lat, wciąż były „czynne”, oraz o bardzo kreatywnym kodeksie karnym wykonawczym, jaki obowiązywał w tej części świata. Stanowczo, Angeliqne nie grzeszyła wyobraźnią, skoro uważała ślub za najcięższe z życiowych doświadczeń.

Nie, żeby on był tą perspektywą szczególnie uradowany. Ale postanowił podejść do sprawy rozsądnie. Będzie mężem Angeliqne tylko na papierze. I tylko tak długo, jak koniecznie trzeba.

– Jakoś to przeżyjesz – uśmiechnął się pobłaźliwie, bo wiedział, że ją tym zdenerwuje. – Kiedy tylko znajdziemy się w Europie, anulujemy ślub, i po sprawie.

– Po sprawie, to będzie dopiero, kiedy odzyskam Tarrantloch. – Dumnie uniosła podbródek, ale w jej głosie dało się słyszeć drżącą, żarliwą nutę. – Nie potrzebujesz jeszcze jednej nieruchomości. Caffarelli posiadają dziesiątki większych i bardziej prestiżowych obiektów na całym świecie.

Dlaczego uparłeś się, żeby dostać w swoje łapska jedyne miejsce na tym świecie, które naprawdę kocham?

Nie spodziewał się po niej takich słów. Co takiego było w Tarrantloch, że tej zepsutej, nawykłej do luksusów dziewczynie głos drżał autentycznym wzruszeniem, gdy je wspominała? Surowy klimat Gór Kaledońskich nie zachęcał, by drzemać na leżaku, a przy krętych górskich drogach próżno było szukać markowych butików. Remy poczuł ukłucie niepokoju. To był aspekt całej sprawy, którego nie przewidział. Chciał się odegrać na Henrym; jego córka, choć nieznośna, niczym mu przecież nie zawiniła.

Czy jednak drżący głos Angelique miał sprawić, że nagnie się do jej woli, rezygnując ze swoich planów? Niedoczekanie. Powiedział sobie twardo, że żadne wyrzuty sumienia nie mają racji bytu. Był biznesmenem, nie dobroczyńcą ludzkości. A pannie Marchand na pewno dobrze zrobi mała lekcja. Najwyższy czas się nauczyć, że w życiu nie można mieć wszystkiego.

– Twój ojciec doskonale wiedział, co robi, zastawiając Tarrantloch, a ja uczciwie je wygrałem – uciał. – Teraz jest moje. Pogódź się z tym.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Nie jesteś przecież bezdomna. Masz całkiem przyzwoity loft w Paryżu. Z widokiem na Sekwanę, o ile się nie mylę.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale nie zdążyła.

– Przepraszam najmocniej. – Naczelnik straży pojawił się w progu, całą postawą dając do zrozumienia, że nie zależy mu na niczym wybaczeniu. – Apartament narzeczonej jest już gotów. Proszę, niech pani pozwoli z nami. Dwie służące będą pani towarzyszyć aż do chwili ślubu, dbając, żeby wszystko odbyło się zgodnie z wymogami przyzwoitości.

Angelique posłała Remy’emu ostatnie, ponure spojrzenie, i wymaszerowała z sypialni, eskortowana przez straż. Kiedy przechodziła obok niego, poczuł zapach jej perfum, który zawisł w powietrzu niczym wstęga. Wydawało mu się, że rozpoznaje słodką i dziką nutę kapryfolium oraz eteryczną woń kwiatów klonu. Ten zapach był taki jak ona: tajemniczy, nieuchwytny i... uderzający do głowy.

Po plecach Remy’ego spłynął gorący dreszcz.

Nie minie dwanaście godzin, a zostaną sobie poślubieni.

Zazwyczaj, kiedy w jego obecności wypowiedano straszne słowo na „ś”, reakcję miał jednoznaczną – po moim trupie. Życie właśnie mu pokazało, że stereotypowe wyobrażenia o ślubie bywają chybione. Perspektywa, którą miał przed sobą, zupełnie się od nich różniła. Czy na niekorzyść? Wcale nie był pewien.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Komnata, którą przygotowano dla „narzeczonej pana Caffarellego”, wprost kipiała przepychem, ale w jej wystroju nie było najmniejszego nawet cienia kiczu. Tylko przedstawicielom kultury Wschodu mogła się udać taka sztuka, pomyślała Angelique, kiedy po raz chyba tysięczny przemierzała pomieszczenie, od finezyjnie sklepionego okna do niskiego łóża, ocienionego baldachimem z gęstymi złotymi frędzlami. W ozdobnych, ażurowych kloszach płonęły oliwne lampki, wypełniając wnętrze chybottliwym, ciepłym blaskiem. Jej bose stopy – bo pantofle zrzuciła już dawno mocnym, pełnym frustracji kopnięciem – zapadały się po kostki w puszystym, bajecznie kolorowym dywanie. Na dworze zapadła czarna jak atrament zwrotnikowa noc, ale ona nie była w stanie zmrużyć oka.

Nie pomogła lekka kolacja, na którą składały się kotleciki z ryżu i jagnięcego mięsa owinięte w marynowane liście winogron ani ziołowy napar mający, zgodnie z zapewnieniami młodej pokojówki, uciszyć treść przed „wielkim dniem”. Nie pomogła relaksująca kąpiel w wodzie pachnącej płatkami róż ani satynowa pościel, którą młoda pokojówka z pietyzmem rozłożyła na niskim, szerokim tapczanie.

Angelique krążyła po pokoju jak dzikie zwierzę zamknięte w klatce. Sytuacja, w której się znalazła, była tak absurdalna, że sama myśl o niej podrywała ją do pionu za każdym razem, kiedy usiłowała umościć się w łóżku.

Nazajutrz rano miała wziąć ślub. Ona, która poprzysięgła sobie, że nigdy nie wyjdzie za mąż! Nie odda władzy nad swoim życiem w ręce jakiegokolwiek mężczyzny w przyływie jakiegoś durnego romantycznego amoku. Nie miała najmniejszego zamiaru tak bardzo się zaangażować; wątpiła, by jakikolwiek związek wart był utraty niezależności. Przykład matki, dla której małżeństwo okazało się prostą drogą do samobójstwa, skutecznie odwiódł ją od takich pomysłów. Biała suknia i welon nie stanowiły szczytu jej marzeń, wręcz przeciwnie. Nic jej tak nie rozsierdzało jak idea, że miałyby się ubrać w coś, co zazwyczaj przypominało wielką bezę, i wypowiedzieć słowa przysięgi, dobrowolnie przyjmując rolę trofeum, ubezwłasnowolnionej zdobyczy, domowej niewolnicy. Ogłosić wszem i wobec, że oto daje komuś nieograniczony dostęp do swojego serca i ciała. Niedoczekanie!

Absurdy na tym się nie kończyły. Przejechała pół świata, żeby unaocznic Remy’emu, że nie cofnie się przed niczym w walce o ukochane Tarrantloch. Tymczasem on nawet nie podjął dyskusji, a ona została zamknięta na trzy spusty, żeby pod strażą czekać na przymusowy ślub. To było jak w jakiejś prześmiewczej bajce. Oto królewicz nie tylko zdobył pół królestwa, ale jeszcze dostawał księżniczkę za żonę.

Sfrustrowana, wściekła, chwyciła wysokie naczynie i naląła sobie kolejną porcję ziołowego

naparu. Musiała przyznać, że był znakomity – wyczuwała słodycz miodu z kwiatów pomarańczy przełamana rześkim smakiem goździków, chłodną nutę lawendy i cały bukiet aromatów, których nie umiała nazwać. Delektując się napojem, pomyślała, że gdyby znalazła się tutaj w innych okolicznościach, uznałaby to za jedną z piękniejszych egzotycznych przygód swojego życia. Oto była w samym sercu pustyni, w liczącej kilkaset lat siedzibie arabskich szejków, podejmowana z rewerencją niczym udzielna księżna. Nad pałacem płonął milion gwiazd, a w jej komnacie powietrze przesycone było bogatą, żywiczną wonią kadzidła. Niestety, całe to tajemnicze piękno rodem z baśni tysiąca i jednej nocy, było zmarnowane, a jej kręciły się w oczach łzy tęsknoty za chłodnym, surowym Tarrantloch. W końcu, zmordowana, położyła się na tapczanie i skuliła pomiędzy poduszkami. Nie spała jeszcze, kiedy zwrotnikowa noc ustąpiła łunie poranka malującej niebo na wrzosowobrzoskwiniowe odcienie.

Zdawało jej się, że minęła najwyżej minuta, odkąd wreszcie zamknęła oczy, gdy pukanie do drzwi poderwało ją z posłania. Na progu stała młoda pokojówka, ta sama, która towarzyszyła jej poprzedniego wieczoru, z wielką tacą pełną różności. Była tu smukła żeliwna kawiarka, z której wydobywał się niezrównany aromat kawy parzonej na sposób wschodni, były owoce: dojrzałe granaty, soczyste kawałki ananasa, cząstki pomarańczy i słodkie daktyle oraz małe, drożdżowe bułeczki z rodzynekami, które pachniały tak wspaniale, że musiały być dopiero co wyjęte z pieca.

– Śniadanie dla pani, *mademoiselle*.

Obolała z niewyspania, była pewna, że nie przełknie ani kęsa. Ale zapach kawy zrobił swoje. Nie minęło pięć minut, a skusiła się na pierwszą ożywczą filiżankę smolistej napoju. Czowała, jak z każdym łykiem wstępuje w nią życie. I nawet nieśmiały optymizm. Zjadła bajecznie soczystą pomarańczę, skubnęła kilka kawałków ananasa i granatu. Stoczyła ciężką, ale zwycięską walkę ze sobą i nie sięgnęła po drożdżową bułeczkę. Umierała z ochoty schrupania przynajmniej jednej, ale nie mogła sobie pozwolić na nadliczbową porcję węglowodanów, kiedy podpisała już kontrakt na zdjęcia. Z zaciekawieniem i przyjemnością poddała się natomiast egzotycznym zabiegom pielęgnacyjnym, których tradycja sięgała czasów Szeherazady. Dwie młodziutkie służące natarły jej włosy mieszanką henny, czarnej kawy i aloesu, żeby pogłębić kolor, nadać gładkość i połysk. Gdy leżała, wyciągnięta na szezlongu, w pomieszczeniu pełnym gorącej pary przesyconej wonią oczyszczających olejków eterycznych, zręczne dłonie wmasowały w jej ciało miodowy peeling, a na twarz nałożyły rozświetlającą maseczkę o rześkim zapachu limonki. Angeliqve postanowiła sobie, że nie będzie myśleć o tym, co czeka ją w najbliższej przyszłości. Szkoda by było zmarnować tak piękną chwilę na zamartwianie się.

Odwaga opuściła ją dopiero, kiedy, już uczesana i umalowana, wróciła do sypialni i zorientowała się, że nie jest sama. Czarno odziana matrona o surowej twarzy stała w progu, obarczona zwojami białego materiału.

– To tradycyjny strój – odezwała się twardą, oszczędną francuszczyzną. – Pomogę panience ubrać się do ślubu.

Angelique patrzyła ze zgrozą, jak starsza kobieta rozkłada na łóżku suknię, tak sutą, że materiału starczyłoby chyba na cyrkowy namiot. Całości dopełniał cienki jak pajęczyna woal, osłaniający nie tylko włosy, ale także nos i usta oblubienicy.

– Przed chwilą ufarbowano mi włosy, ułożono je i zrobiono makijaż – powiedziała, kręcąc głową. – Miałam też zrobiony peeling i masaż całego ciała, maseczkę na twarz i depilację woskiem. Po co to wszystko, skoro teraz mam owinać się od stóp do głów w ten całun?!

– Jak to: po co? – Matrona była wyraźnie zdumiona pytaniem. – Żeby ucieszyć oczy męża w noc poślubną!

Angelique prychnęła, ale zrezygnowała z podejmowania dyskusji.

Stojąc sztywno, pozwoliła się ubrać w suknię, ale kiedy Arabka podeszła do niej z woalem, cofnęła się gwałtownie jak oparzona.

– Nie włożę... tego czegoś.

– To nikab – padła odpowiedź. – Obowiązkowy element ślubnego stroju w naszej prowincji. Twoja twarz, gołąbeczko, to egzotyczny kwiat, który ma rozkwitać tylko w zaciszu mężowskiego domu...

– Co takiego? Jaki znowu kwiat? – zachnęła się Angelique. – Proszę darować sobie te bajki! Nigdy w życiu się w to nie ubiorę, słyszy pani?

Stara Arabka zmierzyła ją spojrzeniem, przez które przemawiał czysty pragmatyzm.

– Czy panienka chce, by pozwolono jej opuścić pałac, czy też nie? – spytała, unosząc brwi.

Cóż, Angelique chciała. Jeśli ceną za wolność miał być występ w stroju arabskiej oblubienicy, trudno, jakoś to zniesie.

Upinanie nikabu przetrzymała z zaciśniętymi zębami. Arabka najpierw misternie udrapowała chustę, okrywając włosy i ramiona Angelique, a potem, na filigranowych złotych łańcuszkach zawiesiła materiał osłaniający dół twarzy.

– Może się panienka teraz przejrzeć w lustrze – powiedziała wreszcie, odstępując na krok i mierząc swoje dzieło pełnym satysfakcji spojrzeniem.

Zrezygnowana, posłusznie ruszyła przez komnatę. Z pewnością wyglądała jak zamaskowany szpieg z krainy deszczowców, który w dodatku, z jakiegoś niezrozumiałego powodu przyodział się w namiot. Całe szczęście, że paradować tak ubrana będzie tylko wewnątrz pałacowych murów, gdzie paparazzi nie mieli szans jej dopaść. Gdyby ktoś teraz zrobił jej zdjęcie, plotkarskie portale internetowe i pisma miałyby nie lada używanie. Oto Angelique Marchand, modelka słynąca z gorących sesji zdjęciowych i prowokacyjnych reklam bielizny oraz strojów kąpielowych, została

zmuszona do tego, żeby osłonić swoje grzeszne ciało skromnym strojem arabskiej oblubienicy...

Na szczęście, kreacja okazała się lżejsza i wygodniejsza, niż się spodziewała. Długa do kostek jedwabna suknia przyjemnie muskała nogi przy każdym ruchu, a gdy Angelique kroczyła, spod misternie haftowanego rąbka ukazywały się czubki filigranowych pantofelków, wyszywanych złotą nicią i zdobionych drobnymi perłami. Stała przed lustrem, spojrzała... i aż westchnęła z zaskoczenia.

Ani trochę nie przypominała szpiega z bajki dla dzieci, który w wyniku jakiejś niefortunnej przygody zapadł się w namiot. Postać, która spoglądała na nią z lustra, była świetlista i wiotka jak biała smukła świeca. Nikab sprawił, że oczy stały się najmocniejszym akcentem całej postaci. Umiejętnie podkreślone mocnym makijażem w stylu orientalnym, wydawały się ogromne, uwodzicielskie i tajemnicze. Choć kreacja odsłaniała tylko dłonie, kto wie, czy nie ukazywała kobiecości w sposób bardziej wyrazisty niż ostentacyjnie skąpe stroje kąpielowe? W dodatku materiał sukni był prawdziwym dziełem sztuki. Haftowany złotą i srebrną nicią, splatającą się w finezyjne ornamenty, wśród których lśniły drobne perły i... tak, prawdziwe brylanty! Ciężkie złote ozdoby przytrzymujące nikab na skroniach i czole nadawały jej niemal królewskiej godności. Na chwilę, na ułamek sekundy, poczuła się jak baśniowa Szeherezada mająca poślubić niebezpiecznego, potężnego szejka...

Zaraz jednak jej praktyczne podejście wzięło górę. To była tylko maskarada, nic więcej. Weźmie w niej udział, skoro nie ma innego wyjścia, a potem pójdzie swoją drogą. I nie będzie się oglądać za siebie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pierwszą myślą, jaka przyszła Remy'emu do głowy, kiedy stanął na ślubnym kobiercu wobec poważnego i uroczego imama oraz całego książęcego dworu, było, że oblubienicą, którą ku niemu prowadzono, mogłaby być dowolna kobieta; on i tak nie miałby szansy zorientować się, z kim bierze ślub. Strój, lśniący od klejnotów i wart co najmniej tyle, co willa nad południowym morzem, zakrywał ją od stóp do głów. W następnej chwili jednak uznał swój błąd.

Tylko Angelique mogła stąpać tak śmiało, rozkołysanym, niemal tanecznym krokiem. Niezależna i seksowna, wbrew wszystkiemu. Ich spojrzenia spotkały się. Oczy, widoczne ponad okrywającą nos i usta trójkątną chustą, były przepastne, szaroniebieskie i ciskały lodowate błyskawice. Tak, to z pewnością ona.

Z cieniem rozbawienia patrzył, jak Angelique piorunuje wzrokiem eskortujące ją damy dworu, jak dąsa się, niczym nieznosząca przymusu pełnokrwista klacz. Cóż, on sam też nie był zachwycony perspektywą wstąpienia w związek małżeński, nawet jeśli ślub miał być tylko odegranym przedstawieniem.

Co innego jego bracia. Remy dotąd nie mógł się nadziwić, że obydwaj z ceniących swobodę kawalerów przedzierzgnęli się w zagorzałych zwolenników małżeństwa. Najstarszy, Rafe, przed kilkoma tygodniami stanął na ślubnym kobiercu. Chyba nigdy w życiu nie wyglądał na tak szczęśliwego, jak w chwili, gdy przysięgał miłość i wierność aż po grób swojej wybrance, Poppy Silverton. Panna młoda wyglądała urzekająco w tradycyjnej sukni ślubnej i była po uszy zakochana w Rafie; gdy uroczyście oświadczała, że bierze go za męża, po jej policzkach popłynęły łzy wzruszenia. Remy zdumiał się, widząc, że oczy Rafe'a, tego chłodnego racjonalisty, też są mokre. Kiedy wsuwał na palec żony obrączkę, jego twarz jaśniała radością i dumą.

Następny w kolejce był Raoul. Zapowiedział już, że rodzina ma sobie zarezerwować czas w okolicy świąt Bożego Narodzenia, bo zamierza się ożenić i wyprawić weselisko. Wypadek na nartach wodnych, który miał na tyle poważne konsekwencje, że przykuł brata do wózka inwalidzkiego, nie zdołał złamać jego ducha. Przeciwnie; Raoul promieniał szczęściem. Całą zasługę należało przypisać niejkiej Lily Archer, rehabilitantce, która wywarła zbawienny wpływ nie tylko na ciało, ale i na serce brata. Wyświechtany frazes, że miłość jest najlepszym lekarstwem, w jego przypadku okazał się prawdą.

Miłość? Remy w tej kwestii nie miał osobistych doświadczeń. Kilka razy zdarzyło mu się zupełnie stracić głowę na punkcie jakiejś kobiety, ale były to doznania tyleż intensywne, co nietrwałe. Był sam sobie sterem i cenił ten stan. Miłość niosła ryzyko straty, a on aż za dobrze wiedział, jak taka strata

boli.

Jego rodzice pewnego dnia po prostu nie wrócili do domu. Miał wtedy siedem lat i bardzo trudno było mu zrozumieć, że wydarzył się bardzo poważny wypadek, tak poważny, że mama i tata musieli pójść do nieba, na zawsze. Długo buntował się przeciwko temu bezlitosnemu, zimnemu „na zawsze”, aż złość, płacz i głuchy ból przerodziły się w apatię. Teraz, po latach, trudno mu było sobie nawet przypomnieć, jak rodzice wyglądali. Pamiętał jednak swoje rozpaczliwe osamotnienie i to wspomnienie było jak zbroja, która broniła dostępu do jego serca.

– Proszę, aby narzeczeni podali sobie prawe dłonie – poważny głos muzułmańskiego duchownego wyrwał Remy’ego z zamyślenia. Spod białego nikabu Angelique łypnęła na niego złowrogo, ale podała mu rękę przyozdobioną finezyjnym, arabskim manicure’em. Jej dłoń była tak szczupłutka, że w całości mieściła się w jego dłoni; to było trochę tak, jakby schwytał dzikiego, płochliwego ptaka. Ciepło jej dotyku wypełniło wnętrze jego dłoni, wprawilo każdy nerw w bardzo przyjemne wibracje. Nie mógł nie zadać sobie pytania, jak by to było, gdyby miał ją w łóżku, nagą i dziką. Widział ją już pałającą gniewem; nie wątpił, że jej namiętność byłaby równie gorąca. Jak by to było – trzymać w ramionach to cudownie smukłe, gibkie ciało, zatracić się w krągłościach słodkich jak rajskie owoce...

Zakazane owoce.

Remy twardo przywołał się do porządku. Odkąd Angelique, w wieku lat bodajże trzynastu, rozkwitła, przeobrażając się z chudego podlotka w małą loliczkę, pełną zuchwałej, choć nieświadomej zalotności, wiedział z jakąś niezachwianą pewnością, że powinien trzymać się od niej z daleka. Jej powab miał w sobie coś... naprawdę niebezpiecznego. Usiłował jej więc unikać, jak tylko mógł. Trzymał się od niej z daleka, pilnował, żeby nigdy, nawet przypadkiem jej nie dotknąć. Tym bardziej powinien pozostać wierny tej strategii teraz, kiedy mieli zostać ogłoszeni mężem i żoną. Musiał dopilnować, żeby pozostali fikcyjnym, papierowym małżeństwem. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, były komplikacje, jakie niechybnie nastąpiłyby, gdyby związek został skonsumowany. Zamiast uzyskać proste unieważnienie, musiałby brnąć przez rozwód. A coś mu mówiło, że rozwód z Angelique byłby istnym piekłem.

Rozwód rozwodem, ale na razie trzeba było wziąć ten przeklęty ślub. Remy skupił się na słowach duchownego i bez zająknięcia przebrnął przez przysięgę małżeńską. Czterokrotnie powołując na świadka Boga, którego w tej części świata nazywano Allahem, zobowiązał się do tego, by kochać i szanować swoją żonę, dbać o jej cześć, opiekować się nią, żywić i przyodziewać, wzbudzić w niej upragnione potomstwo, a gdy na świat przyjdą liczne dzieci, zapewnić dostatnie życie całej rodzinie.

Oblubienica miała nieco więcej trudności z dopełnieniem obrzędu. Przysięga, by miłować i czczyć męża, być mu poddaną, wychowywać dzieci, którymi ją obdarzy, i dbać o domowe ognisko nie

chciała jej przejść przez gardło. Wreszcie, ponaglana zaniepokojonym spojrzeniem imama oraz pełnymi niecierpliwości syknięciami pana młodego, wykaszała ją, jak kotka, która zakrztusiła się kłaczkiem sierści.

– Remy i Angelique – arabski duchowny wymówił obcojęzyczne imiona niemalże bez potknięcia – wstąpiliście właśnie w uświęcony przez Allaha związek małżeński. Ogłaszam was mężem i żoną.

Tu zrobił efektowną pauzę, po czym uśmiechnął się z satysfakcją człowieka, którego cieszy dobrze wykonana praca.

– Remy, może pan teraz unieść welon panny młodej i przypieczętować zawarte małżeństwo pocałunkiem.

W oczach Angelique mignęło coś, jakby popłoch.

– O, nie – wycedziła. – Za żadne skarby...

Wolał w porę jej przerwać. To byłoby, delikatnie mówiąc, niefortunne, gdyby ich sypnęła teraz, kiedy już prawie przebrnęli przez całą tę szopkę. Zdecydowanym ruchem uniósł nikab. Ostatecznie, gdy szło o pocałunki, doświadczenie miał całkiem spore. Z pewnością potrafi złożyć odpowiednio solenny całus na ustach panny młodej, tak żeby usatysfakcjonować imama oraz nadspodziewanie liczną grupę oficjeli, którzy bacznie obserwowali przebieg ceremonii.

Pochylił się i z determinacją przycisnął usta do ust... żony.

Angelique nie przyznałaby się do tego nawet na torturach, ale o pocałunku Remy'ego skrycie marzyła od lat. Nieskończenie wiele razy wyobrażała sobie tę chwilę, snuła fantastyczne wizje, w których wzajemna niechęć zamieniała się w namiętność. W jej marzeniach usta Remy'ego były gorące, twarde, zaborcze. A ich dotyk budził w niej szaleństwo.

Jednak nawet najbardziej śmiałe marzenia bladły wobec rzeczywistości. Jeśli miałyby jednym zdaniem opisać ten pocałunek, powiedziałyby, że miał w sobie niewiarygodną moc. Nie było w nim ani odrobiny wahania czy nieporadności. Remy całował jak ktoś, kto wyznaczywszy sobie cel, koncentrował na nim całą siłę woli. Angelique pojmowała, że tym celem jest ona sama, i ta świadomość wyzwalała w niej jakieś pierwotne, nienazwane uczucie, w którym lęk mieszał się z ekstazą. Doświadczenie było tak nowe, tak hipnotyzujące, że zapomniała o całym świecie. Otoczyła ramionami kark Remy'ego, wspięła się na palce, przylgnęła mocno do jego szerokiego torsu. Miała mgliste wrażenie, że jeśli przerwą pocałunek, zginie, jak gdyby pozbawiono ją tlenu. Kiedy więc poczuła, że pieszczota jego warg intensywniej, ulga i potężniejsza namiętność wyrwała z jej gardła głośny jęk. Remy porwał ją w ramiona i przycisnął do siebie. Był twardy jak skała, gorący i gotów, by ją posiąść. Pragnienie przeszło ją na wskroś, stopiło ją, jak płomień topi wosk. Pragnęła go każdym oddechem, każdym nerwem, każdą komórką ciała.

Duchowny, wciąż znacząco uśmiechnięty, odczekał minutę, potem drugą. Wreszcie, kiedy szmer

wśród zebranych zaczął się wzmacniać, chrząknął wymownie. Nowożeńcy drgnęli, jakby wyrwani z transu, i odskoczyli od siebie. Wnikliwy obserwator mógł zauważyć bezbrzeżne zdumienie, jakie przez ułamek sekundy malowało się na twarzach obojga. Potem ona odwróciła wzrok, mocno przygryzając wargę, a on zmierzył zebranych pewnym, niemal bezczelnym spojrzeniem.

– Proszę nam wybaczyć tę chwilę zapomnienia.

– Ależ, nie ma się czego wstydzić – oświadczył imam wyrozumiale. – Entuzjazm młodych małżonków zawsze niezmiernie nas raduje, pozwala bowiem mieć nadzieję, że ich związek będzie szczęśliwy, trwały i płodny.

– Och, jestem tego pewien – powiedział Remy półgłosem, posyłając Angelique bardzo sugestywne spojrzenie.

Zacisnęła zęby tak mocno, że omal nie zazgrzytały. Ten drań Caffarelli najwyraźniej znakomicie się bawił całą sytuacją. Co gorzej, ją także uważał chyba za swoją zabawkę! Odpowiedziała mu spojrzeniem aż buzującym od wściekłości, on jednak raczej się tym nie przejął, bo uśmiechał się coraz szerzej. Posunął się nawet do tego, że puścił do niej oko, demonstracyjnie, ku wyraźnej uciechu ogółu zebranych.

Wrrrrrr.

– Książę Firas i jego małżonka cieszą się szczęściem młodej pary – zabrał głos wyprężony na bacność siwowłosa dworzanin, pełniący zapewne jakąś szacowną funkcję o skomplikowanej nazwie. – Dlatego wydają dziś ucztę, na której honorowymi gośćmi będą ich nowo poślubieni przyjaciele. Proszę, by uczynili mi państwo zaszczyt i pozwolili za mną...

Co było robić? Angelique postanowiła uzbroić się w cierpliwość. Jeszcze tylko parę godzin, a będzie mogła znowu być sobą. Zrzuci ten dziwaczny strój, który łączył w sobie niewiarygodny przepych i przesadną skromność. Wskoczy w zwyczajne wygodne spodnie i najchętniej jakąś dzianinową bluzę z kapturem. Napije się imbirowego piwa i pójdzie pobiegać do swojego ulubionego parku. I, co najważniejsze, pozbędzie się towarzystwa pana Caffarellego. Uchwyciła się tej uspokajającej wizji jak tonący koła ratunkowego i ruszyła na czele orszaku gości do sali weselnej.

Kiedy otwarto przed nią ogromne podwoje ozdobione finezyjnym ażurowym ornamentem, pomyślała, że umiar z pewnością nie jest jedną z narodowych cnót Dharbirian. Wnętrze, o falującym stropie wspartym na niezliczonych rzędach filigranowych kolumn, zdawało się nie mieć końca. Na stołach, w smukłych świecznikach płonęły świece, a ich blask odbijał się tęczowo w ciężkich, ozdobnych wisiorach. Angelique była przekonana, że są one wykonane z kryształu, ale kiedy zamknęła jeden z nich w dłoni, zrozumiała swój błąd. Zimny, ciężki kamień, lśniący jedynym w swoim rodzaju wewnętrznym blaskiem – to mógł być tylko brylant. Tak, w pałacowej sali tego maleńkiego kraiku o śmiesznych, staroświeckich prawach zgromadzono nieprawdopodobne wręcz

bogactwo. Co więcej, nie wyglądało na to, by ktokolwiek pilnował beztriosko wyeksponowanych, bezcennych klejnotów. Brylanty, jedne wielkości orzechów, a inne – dorodnych moreli, potraktowano po prostu jako ozdoby mające cieszyć oko. Angelique bacznie rozejrzała się dookoła. Wystarczyłoby niepostrzeżenie wsunąć jeden z tych wisiorów do kieszeni, wywieźć i spieniężyć, żeby móc przejść na bardzo wczesną i bardzo luksusową emeryturę. A jednak... choć wewnątrz wypełniała kilkusetosobowa rzesza gości, nikt nie wydawał się zainteresowany tak łatwo dostępną fortuną.

Dlaczego? Czy mieszkańcy Dharbiri byli ludźmi na wskroś uczciwymi, czy też... kradzież karano tu odrąbaniem prawej dłoni? Angelique nie byłaby ani trochę zdziwiona, gdyby to ostatnie okazało się prawdą.

Państwo młodzi zostali posadzeni na honorowych miejscach, tuż obok księżęcej pary. Ku zaskoczeniu Angelique księżna była rodowitą Angielką, która przedstawiła się jako Abby. Firas Muhtadi wodził za młodą żoną rozkochanym spojrzeniem. Abby, miła i bezpretensjonalna, pochyliła się do ucha Angelique.

– Jestem w ciąży – oświadczyła konfidencko, poklepując się po leciutko zaokrąglonym brzuszku. – Kiedy powiedziałam o tym Firasowi, ten romantyczny głupek kazał oddać dziesięć salw z armat na dziedzińcu pałacu. Mówię pani, wszystko trzęsło się w posadach. Od tamtego dnia bez przerwy wydajemy uczy. Odnoszę wrażenie, że imprezują z nami wszyscy obywatele tego pięknego kraju.

Angelique miała takie samo wrażenie. Sala pękała w szwach. Ilu tu mogło być ludzi? Kilkuset? Więcej? Czy kogokolwiek spośród zebranych interesowało, kim są nowożeńcy? Wątpliwe. Mimo to wszyscy bawili się znakomicie. Stoły ugiwały się od wyszukanych potraw, grano na lutniach, fletach i tamburynach. Grupa tancerek, które miały skromnie zakryte twarze, ale ciała niemalże nagie, jeśli nie liczyć staników i przepasek skrzących od złota i drogich kamieni, popisывała się bardzo pomysłowymi płasami.

– Mam nadzieję – Firas Muhtadi uśmiechnął się do Remy’ego sponad filiżanki kawy aromatyzowanej wanilią i kardamonem – że pomimo pośpiechu ze ślubem jesteś zadowolony z obrotu sprawy.

– Nawet gdybym był niezadowolony – Remy skubnął daktyl – to chyba nie problem, prawda? Stary, jesteśmy w Dharbiri. Ślubu udzielił nam tutejszy duchowny, w miejscowym obrządku, którego nazwy po pierwsze nawet nie znam, a po drugie i tak nie potrafiłbym jej wymówić. W dodatku nie mamy tutejszego obywatelstwa. Nie sądzę, by dzisiejsza ceremonia miała jakiegokolwiek skutki prawne poza granicami twojego kraju.

Firas nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko. Jego milczenie było aż nadto wymowne.

– Chyba żartujesz. – Remy poczuł, że opuszcza go dobry nastrój. – Nie, to nie może być prawda.

Powiedz, że żartujesz.

– Małżeństwo to święty związek. – W głosie Firasa brzmiała powaga. – Nie wstępujemy weń lekkomyślnie i nie wycofujemy danego słowa, o ile nie ma ku temu naprawdę ważnych powodów. Gratuluję ci, przyjacielu, twoja żona to prawdziwa piękność. Wierzę, że będziecie razem szczęśliwi. Ja sam przekonałem się niedawno, że miłość nie jest jakimś fatum, wobec którego człowiek jest bezradny. O szczęście w miłości można walczyć, nawet wbrew przeciwnościom losu. Sami stworzymy nasze przeznaczenie.

– Ty i Abby to zupełnie inna historia. – Remy pokręcił głową.

– Oczywiście – zgodził się książę. – Każda para ma własną historię. Zaraz każę orkiestrze zagrać walca, a ty bierz się do dzieła. Czas, żebyście zaczęli tworzyć waszą wspólną historię.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Angelique kochała tańczyć. Kiedy wchodziła na parkiet, zapominała o całym świecie. Oddychała muzyką jak ożywczym tlenem. Jej serce podchwytywało rytm, każdy ruch wpisywał się idealnie w linię melodyczną. Tak było i tym razem. Chociaż chłodne, rozkołysane nuty wiedeńskiego walca dziwnie kontrastowały ze wschodnim przepychem wnętrza, a cała sytuacja nie należała do relaksujących ani, tym bardziej, do pożądanых, poddała się urokowi chwili. Wsparta na silnym ramieniu Remy'ego, zespolona z nim splotem rąk, dała się ponieść muzyce. Wirowali lekko, płynnie, w doskonałej harmonii, jak gdyby porwały ich fale modrego Dunaju.

Wystarczył moment, by otoczenie rozmyło się przed oczami Angelique, zamieniając ludzi i przedmioty w świetliste, kolorowe smugi. Nie zauważyła, że prawie wszyscy goście otoczyli parkiet ciasnym kręgiem. Wyraźnie widziała tylko mężczyznę, który prowadził ją w tańcu. Miał dumnie uniesioną głowę i piękny profil. Jego swobodny półuśmiech wyrażał pewność siebie, a ciemne oczy spoglądały w dal ponad jej głową. Wpatrzona w niego, wsłuchana w tęskną melodię walca, zatoneła w marzeniach.

– Nieźle nam poszło, nie uważasz? – Głos Remy'ego wyrwał Angelique z zamyślenia. Nawet nie zauważyła, kiedy umilkła muzyka. – Uważam, że warto jeszcze kiedyś to powtórzyć.

O, nie. Mowy nie ma. Dość już się wygłupiła. Najpierw ten przekłety pocałunek, a teraz taniec. Goniła Caffarellego przez pół świata, bo była na niego wściekła, a wystarczyło, że wziął ją w ramiona, by straciła głowę i zaczęła zachowywać się jak marczująca kotka. Musiała wziąć się w karby, zanim ten drań ostatecznie ją upokorzy.

– Na twoim miejscu nie puszyłabym się tak. Podeptałeś mi stopy.

– Nieprawda! – Aż się zachnął z oburzenia.

– Prawda. – Angelique skrzyżowała palce za plecami.

– Ależ nie.

– Ależ tak.

– Nie kłóć się ze mną, kochanie – uśmiechając się pobłaźliwie, uszczypnął ją lekko w policzek. – Złość piękności szkodzi.

– Łapy przy sobie – syknęła przez zaciśnięte zęby, a potem przewróciła oczami, robiąc szkaradną minę.

– Czy mówiłem ci już, że wyglądasz uroczo? – Ujął jej dłoń z rewerencją i poprowadził do stołu. – Myślę, że najwyższy czas, żebyśmy się nieco pokrzepili posiłkiem.

Nie mogła się z nim nie zgodzić, więc strategicznie wybrała milczenie. Od rana nie miała nic

w ustach, i teraz jej żołądek kurczył się boleśnie, pobudzony samą myślą o jedzeniu. Przyjęła z wdzięcznością kolorowy kubek pełen chłodnego napoju o korzennym smaku, ale gdy chciano napełnić jej talerz potrawami, odmówiła. Poprosiła tylko o sałatę i już po chwili rozkoszowała się smakiem kruchych listków, przyprawionych pikantnym sosem, w którym wyraźnie wyczuwała nuty limonki, mięty i szalwii.

Bardzo dobrze. O ile nie dodano tu zbyt dużo oliwy, danie właściwie nie zawierało kalorii. Nie było też, niestety, specjalnie sycące, ale Angelique potrafiła znieść uczucie głodu.

– Musisz tego spróbować. – Remy podszedł do niej z pełnym talerzem najrozmaitszych smakołyków, po czym bezceremonialnie nadział na widelec kawałek mięsa pieczonego w ziołach.

– Dziękuję. – Pokręciła głową i cofnęła się o krok. Zapach jagnięciny, kminku i czosnku sprawił, że ślinka napłynęła jej do ust. – Nie jestem głodna.

– Tylko spróbuj. – Zachęcająco podsunął jej kasek. – Tutejszy kucharz jest prawdziwym geniuszem. Jeszcze nigdy nie jadłem tak świetnie przyrządzonego mięsa.

Och, wierzyła, że miało boski smak. Jej dzika natura targnęła się i omal nie zerwała z uwięzi. Chciała wbić zęby w soczyste mięso, chciała pofolgować swoim apetytom, chciała... Nieważne, co chciała. Musiała się opanować. Może i straciła kontrolę nad swoim życiem, ale ciało potrafiła jeszcze zmusić do posłuchu. Była na diecie; nie wolno jej było przytyć ani grama.

Dziękując losowi, że gwar setek głosów skutecznie zagłusza burczenie w jej brzuchu, posłała Remy'emu spojrzenie pełne buntu i rozpacz.

– Nie zmuszaj mnie. Nie mam ochoty.

Odstawił talerz i zrobił krok w jej stronę. Miała wrażenie, że jego wzrok, chłodny i uważny, przenika ją na wskroś. Wstrzymała oddech.

– Kłamiesz – powiedział wreszcie, cicho i dobitnie. – Masz ochotę i dobrze o tym wiesz.

Tembr jego głosu był jak śmiała pieszczota. Angelique poczuła, że w głębi jej ciała zaczyna pulsować małe gorące źródło, zalewając ją falami rozkosznych dreszczy. Nie mówili już o jedzeniu; co do tego była najzupełniej pewna. W desperacji chwyciła swój kubek i wychyliła do dna, w nadziei, że chłodny napój choć trochę ją otrzeźwi.

Nie mogła sobie pozwolić na słabość. Na myśl, że jakiś mężczyzna mógłby przejąć kontrolę nad nią tak dalece, że nawet jej fizjologia byłaby w jego mocy, czuła ogromny wewnętrzny sprzeciw. Niedoczekanie. Była panią samej siebie i zamierzała nią pozostać.

Nie chciała tego mężczyzny ani jego pocałunków, ani smakołyków, którymi ją częstował. Zresztą, już chyba dość długo odgrywała rolę przykładnej panny młodej. Czas na rejteradę.

Postanowiła wykorzystać klasyczną, ale skuteczną wymówkę. Przywołała na pomoc talent aktorski, uniosła dłoń do czoła i posłała swojemu towarzyszowi senne, przepaszające spojrzenie.

– Wybacz, Remy, ale teraz mam ochotę tylko na odpoczynek. Przyznam ci się, że ostatniej nocy

spałam zaledwie godzinę i od rana męczy mnie okropny ból głowy.

Zmarszczył brwi, jak gdyby się namyślał, czy powinien jej uwierzyć.

– Może powinnaś się jeszcze napić? – spytał wreszcie. – W tym klimacie o odwodnienie nietrudno, nie można tego bagatelizować. Przyniosę ci...

– Oddałabym wszystko za kieliszek białego wina – wyznała półgłosem.

– Gdyby nakryto cię tutaj na raczeniu się alkoholem, mogłabyś oddać za to życie – odparł równie cicho.

Angelique poczuła, jak strach zaciska się na jej żołądku niczym lodowata pięść. Przepych i luksus, uśmiechnięta służba, życzliwy, przyjaźnie nastawiony książę i jego serdeczna małżonka – wszystkie te okoliczności sprawiły, że niemal zapomniała o realnym niebezpieczeństwie, w jakim się znaleźli.

– Ale teraz nic nam już chyba nie grozi? – spytała gorączkowo. – Wzięliśmy... ślub, uszanowaliśmy tutejsze prawo, więc nikt nie powinien się czepiać, prawda?

Remy spoważniał i ukradkiem rozejrzał się dookoła. Angelique nie poczuła się ani trochę uspokojona jego zachowaniem.

– Owszem, jesteśmy bezpieczni, dopóki zachowujemy się w sposób niewzbudzający wątpliwości, że małżeństwo traktujemy serio – powiedział, zniżając głos do szeptu. Musimy uważać na każdy gest aż do chwili, kiedy znajdziemy się na pokładzie samolotu.

A więc nadal byli na cenzurowanym. Spojrzała spod rzęs na tłum rozbawionych gości. Wydawali się zupełnie nieszkodliwi, uśmiechnięci, przyjacielscy. Czy byli wśród nich tacy, którzy śledzili każdy ich ruch, by w razie najmniejszego potknięcia wołać gromko, że obcokrajowcy dopuścili się zgorszenia lub wręcz świętokradztwa? Czy mieszkańcy Dharbiri przybyliby równie tłumnie, żeby być świadkami wymierzenia im kary przewidzianej przez muzułmańskie prawo?

Zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi, wcisnęła się w objęcia Remy'ego niczym przerażone dziecko szukające bezpiecznego schronienia. Kiedy bez słowa otoczył ją ramieniem, poczuła coś na kształt wdzięczności. Odkąd wpakowała się w tę kabałę, odkąd zrozumiała, że grozi jej prawdziwe, poważne niebezpieczeństwo, instynktownie oczekiwała ratunku od niego. A on... nie zawiódł jej. Dotarło do niej nagle, że był chyba pierwszą taką osobą w jej życiu. Nie zostawił jej samej, jak zrobiła to matka. Nie zlekceważył jej, jak miał to w zwyczaju ojciec. Razem z nią wszedł na pole minowe, jakim był dharbirski system prawny, a teraz trwał przy niej, spokojny i nieporuszony. Mało tego, nie stracił nawet poczucia humoru!

Czy chociaż trochę się bał?

Jeśli tak, to znakomicie to ukrywał.

– Przepraszam za wszystko – powiedziała impulsywnie. – Nie miałam pojęcia, że tak się to potoczy. Zrozum, ty przyjeżdżasz tutaj od lat, a ja... jeszcze nigdy nie byłam w tej części świata.

– Naprawdę? – puścił jej przeprosimy mimo uszu. – A ta sesja zdjęciowa sprzed dwóch lat, gdzie reklamowałaś fikuśną bieliznę? Na niektórych fotografiach tarzasz się w piasku wśród pustynnych wydm, na innych dumnie kroczysz na czele karawany wielbłądów.

Och, a więc oglądał te zdjęcia. I wciąż je pamiętał, chociaż minęły już dwa lata. Jakież to... interesujące.

– Tamta sesja nie była robiona w Afryce. – Machnęła ręką. – Producent uznał, że taniej wyjdzie, jeśli wyśle ekipę do Rumunii, na wydmy Nyírség. Wielbłądy wypożyczono z miejscowego zoo. Śmierdziały nieludzko, były udreżone, przerażone i wściekłe. Jeden przez cały czas usiłował mnie ugryźć. To była chyba najkoszmarniejsza sesja zdjęciowa, w jakiej brałam udział. Aranżerowi nic się nie podobało, fotograf nie potrafił się z nim dogadać. Ujęcia powtarzaliśmy godzinami, w pełnym słońcu, aż dostałam takiej migreny, że omal nie wylądowałam w rumuńskim szpitalu.

Remy zmarszczył brwi.

– Dlaczego to robisz? – spytał po długiej chwili milczenia.

– Dlaczego co robię? – zjeżyła się. Nie lubiła komentarzy dotyczących kariery zawodowej, którą wybrała.

– Nie rozumiem, dlaczego upierasz się przy tej pracy – powiedział ponuro, marszcząc brwi. – Pokazujesz się całemu światu naga, jeśli nie liczyć skrawków materiału. Prężysz się, wyginasz, stroisz zalotne minki, nawet jeśli jesteś śmiertelnie zmęczona, a fotograf każe ci bez końca tkwić w nieludzkim upale albo zbliżać się do niebezpiecznych zwierząt. I po co to wszystko? Żeby producent nabił sobie kabzę.

– Wiesz, nie robię tego charytatywnie – powiedziała lekko, pokrywając zmieszanie wzruszeniem ramion. Potrafiła ignorować kpiny i odpierać obraźliwe uwagi; ojciec nie szczędził jej ani jednych, ani drugich. Ale nie miała pojęcia, jak zareagować na troskę, którą słyszała w szorstkim tonie jego głosu.

– Mogłabyś na pewno znaleźć lepiej płatną pracę, gdzie nie musiałabyś robić z siebie dmuchanej lali, pozując do zdjęć, które faceci trzymają potem w łazience, na wypadek gdyby przyszła im ochota dogodzić sobie w samotności, pod prysznicem – skrzywił się.

Angelique uniosła brew.

– Wiesz o tym z własnego doświadczenia? – wypaliła.

Nie odpowiedział. Odwrócił wzrok i zacisnął zęby tak mocno, że widziała, jak drga mięsień jego szczęki.

– Nie, skąd – odezwał się wreszcie. – Ja... nie myślę o tobie w ten sposób.

Chyba jeszcze nigdy nie był tak mało przekonujący. Kłamał, to było najzupełniej oczywiste. I... coraz bardziej interesujące.

A więc podniecały go jej zdjęcia. Może nawet tak bardzo, że obraz jej ciała towarzyszył mu, gdy szczytował. Ta myśl była szokująca... i nieodparcie rozkoszna. Przeniknęła ją dreszczem, rozgrzała krew. A przecież to były tylko zdjęcia, odcieleśniony produkt. Och, gdyby mogła wziąć go w ramiona. Jej wnętrze pulsowało tęsknotą za jego bliskością, za doświadczeniem, które prawdziwie by ich połączyło. Za intymnością, w której odkrywaliby siebie nawzajem, nie zaś zadowalali się pozorami.

Stop! Natychmiast przestań! Wybij to sobie z głowy.

Przerażona własnymi uczuciami, z wysiłkiem skierowała myśli na inne tory.

– Nie uważasz, że wystarczy już tej maskarady? – zniżyła głos do szeptu. – Moglibyśmy chyba ogłosić, że, hm, jedziemy w podróż poślubną, a potem wylewnie pożegnać się ze wszystkimi i wsiąść do samolotu? Jestem spakowana i marzę o tym, żeby dać stąd nogę.

– Niestety, to nie takie proste. – Pochylił się ku niej, obejmując ramieniem jej plecy. – Nie możemy dzisiaj wyjechać z Dharbiri.

– Dlaczego?

– Bo, widzisz – powiedział grobowo – jest jeszcze jedna tradycja, którą należy uhonorować. Noc poślubną musimy spędzić tutaj, w pałacu. Musimy oficjalnie skonsumować małżeństwo.

– Ofi...cjalnie? – Panika sprawiła, że głos uwiązł jej w gardle. – Co to znaczy, oficjalnie? Przy świadkach?! Boże, to jakiś koszmar. Trójkąty to zupełnie nie moja bajka. Nawet w parze raczej nie czuję się... zresztą, mniejsza z tym. – Uniosła dłonie do ust, jak gdyby tylko w ten sposób mogła przerwać słowotok, w który wpadła.

– Aż tak źle może nie będzie. Imamowi wystarczy chyba moje oświadczenie, że byłaś dziewicą, gdy cię poślubiłem.

– Jak to?! – wydukała, zaskoczona. – Dziewicą...?

– Czyżbyś nie była już nietknięta? – spytał, przybierając ton autentycznego zaciekawienia.

– A ty wciąż jesteś prawiczkiem? – odparowała, unosząc podbródek.

Nie mógł się nie roześmiać. To była cała ona – rezolutna, zadziorna i asertywna wręcz do przesady. Zawsze, ale to zawsze musiała mieć ostatnie słowo.

– Można powiedzieć, że jestem prawiczkiem, gdy chodzi o uczucia – przyznał. – Nigdy jeszcze nie byłem na serio zakochany. Ale muszę wyznać, że zdarzyło mi się już spać z kobietą.

– Założę się, że nie raz i nie dwa – mruknęła.

– A ty, ilu miałaś?

– Słucham?!

– Pytam, ilu miałaś kochanków.

Drgnęła, jak gdyby dotknął ją tym pytaniem. Zacisnęła usta i przez chwilę stała tak, bez słowa

i bez ruchu. Zaraz jednak odzyskała rezon.

– Nie bardzo rozumiem, jakim prawem o to pytasz – powiedziała zimno.

– Jak to, jakim prawem? – Zmarszczył brwi, strojąc głos na poważny, mentorski ton. Prowokowanie Angelique było zbyt dobrą zabawą, żeby miał z niej zrezygnować. – Prawem męża! Jako dobra żona jesteś mi winna uległość i posłuszeństwo, a ja oczekuję od ciebie pełnej szczerości – wypalił, i zaczął liczyć.

Raz...

Dwa...

Był pewien, że eksplozja nastąpi, zanim doliczy do trzech. Nie pomylił się.

– Ty draniu! – Jej syk przypominał odgłos palącego się lontu. Oczy, zwężone w szparki, sypały stalowe iskry. – Świetnie się bawisz moim kosztem, prawda? Idę o zakład, że nie możesz się doczekać powrotu do Włoch, żeby uraczyć rodzinę i znajomych opowiadaniem, jak wmanewrowałeś mnie w małżeństwo. Najpierw Tarrantloch, a teraz to. Jesteś naprawdę człowiekiem sukcesu!

– Nie przesadzajmy – skrzywił się. – Może się zdziwisz, ale małżeństwo z tobą naprawdę nie jest szczytem moich marzeń. Przyznam ci się szczerze, że gdybym w ogóle rozważał możliwość ożenku, byłabyś ostatnią osobą, którą brałbym pod uwagę.

– I wzajemnie – syknęła. – Nie zamierzam wychodzić za mąż, a już na pewno nigdy, przenigdy nie wyszłabym za ciebie!

– Widzisz, kochanie, jacy jesteśmy zgodni? A jedność i zgoda to domu ozdoba – oświadczył Remy sentencjonalnie, po czym spojrział na zegarek. – Zabawa jest szampańska, ale myślę, że na nas już czas. Udajmy się na spoczynek.

Zanim, odprowadzani gromkimi owacjami, życzeniami szczęścia oraz wielu synów, opuścili salę biesiadną, Angelique nabawiła się autentycznego bólu głowy. Idąc za Remy do sypialni, czuła, że jest śmiertelnie zmęczona. Nie miała już siły na kłótnie. Nie miała siły nawet złościć się na to, że goście wciąż wiwatowali, wykrzykując coraz bardziej jednoznaczne komentarze pod adresem młodych małżonków oraz dobre rady dotyczące przebiegu nocy poślubnej.

– Jeżeli chcesz, możesz zająć łóżko – powiedziała z rezygnacją, kiedy otwierał drzwi. – Ostatecznie, jesteś ode mnie o wiele wyższy. Ja bez problemu prześpię się na sofie.

– Jaką sofę masz na myśli? – zainteresował się Remy, stając w progu okazałej komnaty.

Angelique przygryzła wargę. Wnętrze utrzymane w gamie barwnej przywodzącej na myśl zachód słońca ponad piaskami pustyni, było piękne i nieprawdopodobnie wręcz luksusowe. Znajdowało się tu chyba wszystko, co mogło uprzyjemnić noc zakochanej parze, od wonnych kadzideł, aż po stroje nocne z najszlachetniejszego jedwabiu. Była tu nawet alabastrowa fontanna z szemrzącym cichutko wodotryskiem. Brakowało tylko... sofy.

– Ja... – urwała. Nie wiedziała, co powiedzieć. Ku swojemu przerażeniu poczuła, że za chwilę się

rozplącze ze zmęczenia i bezsilności.

– To łóżko jest chyba dostatecznie duże dla nas obojga. – Remy poklepał sprężysty materac powleczoney świeżutką, pachnącą pościelą. – Połowa dla mnie, połowa dla ciebie. Spokojnie, to tylko jedna noc.

Na pewno nic nie knuł? Angelique przyjrzała się Remy'emu podejrzliwie, ale z jego pokerowej twarzy nie sposób było nic wyczytać.

– W porządku – powiedziała sztywno. – Tylko pamiętaj, że masz się trzymać swojej strony. Chrapiesz?

– Gdybym zaczął chrapać, wystarczy, że dasz mi kuksańca – oświadczył beztrósco.

– Tego się nie obawiaj. Nie zamierzam cię dotykać ani w ogóle zbliżać się do ciebie – zarzekła się.

Remy uśmiechnął się szeroko.

– Jeszcze nigdy nie spędziłem nocy z tak zdeterminowaną kobietą.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Angelique spędziła w łazience zupełnie nieprawdopodobną ilość czasu. Wyswobodziła się ze wszystkich warstw weselnego stroju. Wzięła długą, relaksującą kąpiel z dodatkiem prawdziwego migdałowego mleka. Wymyła włosy słynnym szamponem ghassoul i uznała, że rewelacje, jakie słyszała o tym arabskim kosmetyku, nie były ani trochę przesadzone. Wreszcie wmasowała w skórę olejek arganowy i, grając na zwłokę, wyszczotkowała włosy, sumiennie odliczając sto pociągnięć. Kiedy nie pozostało już nic do zrobienia, ubrała się w jedwabną koszulkę nocną, owinęła szczelnie białym haftowanym szlafrokiem i, zebrawszy się na odwagę, otworzyła drzwi.

Przywitała ją cisza. W sypialni nie było nikogo.

Poczuła się dziwnie nieswojo. Dlaczego Remy zostawił ją samą? Dlaczego nie powiedział jej, dokąd idzie lub nie zostawił choćby karteczki z wiadomością? To było nie w porządku z jego strony! Skąd miała wiedzieć, gdzie on jest? I z kim?!

Pięknie. Zaczynała się zachowywać jak typowa żona.

Powiedziała sobie twardo, że nie będzie myśleć o Remym, i wyciągnęła się na łóżku. Pościel rozkosznie pachniała lawendą. Angelique zaciągnęła się kojącą wonią. Wraz z każdym oddechem czuła, że opuszcza ją napięcie, które towarzyszyło jej nieprzerwanie od kilkadziesiąt godzin. Wreszcie pozostało tylko obezwładniające znużenie. Myśli rozmyły się, ciało stało się nieważkie, a powieki ciężkie jak z ołowiu. Sama nie wiedziała, kiedy nadszedł sen, nieunikniony niczym zmierzch zapadający po długim dniu.

Była trzecia nad ranem, kiedy Remy wreszcie postanowił udać się na spoczynek. Przeprowadził kilka międzynarodowych rozmów, wyrwał z łóżek parę osób, ale dopiął swego. Miał zgodę na lot czarterowy z Dharbiri do Heathrow następnego ranka. Spotkanie z prawnikiem zaplanował na ten sam dzień. Nie zamierzał tkwić w „małżeństwie” z Angelique Marchand ani chwili dłużej, niż to było konieczne. Z każdą godziną rosło prawdopodobieństwo, że prasa zwącha sensację. Zaczną się domysły, wywiady z „naocznymi świadkami” i „bliskimi znajomymi” nowożeńców, zdjęcia robione z ukrycia, hordy paparazzich uganiające się za nimi jak za łowną zwierzyną... O, nie. Nie mógł do tego dopuścić. Zrobi wszystko, żeby ten matrymonialny epizod utrzymać w całkowitej dyskrecji i jak najszybciej wymazać z dokumentów i z pamięci. Nie chciał go w swoim życiorysie.

Sypialnia tonęła w półmroku rozproszonym światłem małych, wiszących lampek o witrażowych kloszach. W ich przyćmionym ciepłym blasku postać Angelique rysowała się miękką linią na jasnym tle prześcieradła.

Leżała, pogrążona w głębokim śnie.

Na samiuśkim środku łóżka.

Zahipnotyzowany tym widokiem, po cichu podszedł bliżej. Nie poruszyła się. Jej włosy, uwolnione z upięcia, układały się ciemnym lśniącem wachlarzem na poduszkach. Usta, które za dnia malowała mocną czerwień, teraz były jaśniejsze, delikatne jak płatki kwiatu. Zniknął perfekcyjny makijaż, który był jej zbroją w konfrontacji ze światem; jej nieumalowana twarz, spokojna i ufna we śnie, wyglądała młodziutko i rozbrajająco niewinnie. Zauważył, że pod jej oczami rysują się sine cienie. Wcześniej w ogóle ich nie dostrzegł, tak dobrze je ukryła za pomocą jakiegoś mazidła. Teraz widział, że musiała być naprawdę wyczerpana całą tą przygodą. Była taka drobniutka i krucha, a jednak zawsze gotowa walczyć o swoje. Jak to filigranowe ciało mogło pomieścić tyle charakteru?

Angelique westchnęła przez sen, a on zapatrzył się na jej rozchylone usta. Wciąż się jeszcze wpatrywał, kiedy przeciągnęła się leniwie jak kotka, rozkosznie wyginając plecy. Och, ona nie byłaby byle dachowcem, tylko samiczką jakiejś szlachetnej egzotycznej rasy. Koteczką, która lubi pokazać pazurki, ale, gdy jest w dobrym nastroju, uwielbia też pieszczoty... Miękka kołdra zsunęła się z jej delikatnego, krągłego ramienia. Cieniutkie ramiączko koszuli nocnej układało się niezwykle interesująco na jej ciele, a kolor tkaniny podkreślał świetlistą jasność skóry. Kiedy przekreśliła się na plecy, tylko cieniutki jedwab przesłaniał strome wzgórza piersi. Remy zawsze był zdania, że są idealne, ani zbyt drobne, ani przesadnie wielkie. Teraz musiał przyznać sobie samemu rację. Piersi Angelique były... po prostu cudowne.

Ciekawe, kto był jej ostatnim kochankiem. Zazwyczaj informacje tego typu nie były trudne do zdobycia; plotkarska prasa skwapliwie donosiła o jej miłostkach i przygodach. Rzadko miały miesiąc, by nie opisano jakiegoś skandalu z udziałem bezwstydnej, aroganckiej Angelique Marchand. Remy daleki był od tego, żeby wierzyć wszystkim plotkom. Oczywiście nie mogło być dymu bez ognia, ale goniące za sensacją tabloidy lubiły wyolbrzymiać każdą plotkę. Wiedział o tym z doświadczenia. Owszem, był człowiekiem towarzyskim, lubił imprezy i, no cóż, lubił kobiety. Ale nie pił dużo; potrafił się dobrze bawić przy jednej lampce wina. Nigdy nie zniżył się do tego, żeby sięgać po narkotyki dla ubarwienia zabawy. Tymczasem pismacy zrobili z niego hulakę, który chlał i brał co popadnie, byle tylko wprawić się w jeszcze lepszy nastrój. Co zaś do kobiet, to gdyby w jego łóżku wylądowała choćby połowa z tych, którym tabloidy nadały status jego kochanek, mógłby śmiało ubiegać się o rekord Guinnessa.

Musiał przyznać, że etykieta playboya nie irytowała go w najmniejszym stopniu. Raczej go bawiła, zwłaszcza że jeszcze żadna przedstawicielka płci pięknej nie poczuła się urażona pomówieniem o dzielenie z nim łoża. Co innego, gdy rozniesie się, że jest żonaty. Po pierwsze, rozpoczną się pretensje, żale, plotki i towarzyskie nieporozumienia. Po drugie, był chyba staroświecki, ale nie zamierzał łamać przysięgi, którą wypowiedział przed paroma godzinami. Choć

zrobił to niejako pod przymusem, jednak przyrzeczenie wierności wypowiedział głośno i przy świadkach. Czuł, że go ono obowiązuje aż do chwili, gdy zostanie oficjalnie z niego zwolniony. Zdradzanie żony, czy to prawdziwej, czy istniejącej tylko na papierze, w jego przypadku nie wchodziło w grę. Nie zamierzał sypiać za jej plecami.

Spać natomiast bezsprzecznie musiał. A Angelique wciąż leżała na środku łóżka!

Trudno, nie zamierzał się tym przejmować. Po prostu weźmie prysznic, najlepiej bardzo zimny, a potem położy się obok niej i zaśnie. Ostatecznie, kto śpi, nie grzeszy.

Nieśmiały promień porannego słońca prześliznął się przez uchylone okienne żaluzje, odnalazł twarz uspiętej Angelique i złożył złocisty pocałunek na jej skroni. Przeciągnęła się sennie, powoli dryfując ku przebudzeniu. Pierwszą rzeczą, jaka dotarła do jej świadomości, była rozkoszna miękkość poduszki i balsamiczna woń powietrza wpadającego przez uchylone okno. Nie otwierając oczu, westchnęła z lubością i spróbowała obrócić się na drugi bok.

Nie mogła się ruszyć.

Z wysiłkiem skupiła umysł na tym, co stanowiło sedno problemu. Coś krępowało ją w pasie – coś ciężkiego i gorącego, bezsprzecznie żywego... Gwałtownie przytomniejąc, otworzyła oczy. Opalone męskie ramię spoczywało swobodnie na jej talii, odcinając się ciemnym kształtem od kremowej bieli koszulki nocnej. Ramię należało do półnagiego mężczyzny, który leżał tuż obok niej, śpiąc w najlepsze.

Remy!

Angelique wstrzymała oddech i powolutku, ostrożnie uniosła głowę. Było na co popatrzeć. Remy prawie zupełnie odkrył się przez sen i leżał teraz na wznak, półnagi, złocisty w blasku poranka. Spokojny oddech unosił miarowo jego szeroki, pięknie umięśniony tors, od nagiej skóry promieniowało ciepło i jedyny w swoim rodzaju zapach – woń bliskości i snu. Angelique miała wrażenie, że ten zapach otacza ją, obejmuje niczym ciepłe, mocne ramiona.

To dziwne, ale nie poczuła się nieswojo. Wręcz przeciwnie – poczuła się tak dobrze, tak rozkosznie, że miała ochotę zacząć mruczeć jak kotka. Zapach mężczyzny, tego mężczyzny, bardziej nawet niż widok jego nagiego ciała, przemówił do jej zmysłów, rozniecił płomień, który powoli, coraz śmieiej obejmował jej ciało. Angelique leżała nieruchomo, smakując to uczucie. Płonęła. Ona, która już dawno pogodziła się z tym, że jest... oziębła. Tę niemiłą prawdę trzymała w jak najściślejszej tajemnicy; nikt nie musiał wiedzieć, że los potężnie z niej zadrwił, obdarzając seksownym ciałem, lecz zarazem skąpiąc jej temperamentu. I, jak na razie, nikt poza nią o tym nie wiedział. Plotki, kolportowane przez tabloidy, stanowiły wspaniałą zasłonę dymną. Wystarczyło, by sfotografowano ją, kiedy stała obok jakiegoś mężczyzny, a powstawał sensacyjny artykuł na temat kolejnego płomiennego romansu bezwstydnej i niewyżytej Angelique Marchand. Nigdy, z zasady, nie

dementowała tych doniesień. Kiedy jakimś dziennikarzowi udało się dopaść ją z kamerą i mikrofonem, pytanie o najnowsze podboje kwitowała wyćwiczonym, tajemniczym spojrzeniem *à la* Sophia Loren i niezmiennym komentarzem, że prawdziwa dama nie zdradza tajemnic alkowy. Jej kochankowie – mogłaby ich policzyć na palcach jednej ręki, nawet gdyby straciła w jakimś okropnym wypadku dwa palce – byli o wiele za bardzo zajęci miętoszeniem jej biustu, by zauważyć, że ona, delikatnie mówiąc, nie podziela ich entuzjazmu. Wstyd powiedzieć, ale w łóżku po prostu się nudziła. Męskie popisy śmieszyły ją albo żenowały, ale nigdy jeszcze nie przyniosły jej rozkoszy.

Nagle Remy przekreślił się na bok, napał na nią całym ciałem. Wyraźnie poczuła na swoim podbrzuszu nacisk jego nabrzmiałego członka.

Chwileczkę... czy on na pewno spał? Zerknęła spod rzęs. Oczy miał zamknięte, oddech powolny i głęboki. Ale jego ręka ożyła nagle, poruszyła się i bezbłędnie odnalazła jej biust. Och! Więc chyba jednak nie spał. Głos rozsądku podpowiadał Angeliq, że powinna się wycofać z tej niebezpiecznej zabawy. Ale nie potrafiła odmówić sobie tego, co czuła, gdy jego duża, ciepła dłoń obejmowała jej pierś. Jej ciało domagało się dotyku, błagało o więcej. Jeszcze tylko moment, powiedziała sobie, kiedy Remy zaczął powoli, powolutku głaskać stwardniały, wrażliwy sutek. Jeszcze tylko moment... nie mogła jasno myśleć, bo kręciło jej się w głowie, coraz mocniej, coraz szybciej z każdym płytkim, gwałtownym oddechem. Rzeczywistość rozplynęła się, nie istniało już nic poza pieśczęcią jego palców, która budziła w niej gorące dreszcze, sprawiała, że jej wewnątrz topniało jak wosk.

Nie miała dość siły woli, żeby odsunąć się na swoją stronę łóżka. Ale... nie musiała przecież zdradzać się z tym, że nie śpi! Skoro Remy śmiało sobie poczynał, bezczelnie udając głęboki sen, ona mogła postąpić podobnie. Niczego jej przecież nie udowodni!

Mruknęła coś niewyraźnie, przekreśliła się i przysunęła do niego jeszcze bliżej. On także poruszył się nieznacznie, ale wystarczająco, żeby splątać nogi z jej nogami. Wtuliła twarz w pierś Remy'ego, rozkoszując się zmysłowym ciepłem i męskim, korzennym zapachem. Kołysana głębokim oddechem, upojona energią, która zdawała się drzemać w jego mocnym, umięśnionym ciele, odpływała w krainę bardzo jednoznacznych marzeń. Kiedy jego język musnął wrażliwe miejsce na jej szyi, tuż pod płatkiem ucha, nagły, cudowny dreszcz przeniknął ją na wskroś. Jęknęła cichutko i przyłgnęła do niego całym ciałem, a on objął ją i zmienił pozycję. Poczuła na sobie ciężar męskiego ciała i otworzyła oczy. Zamiary Remy'ego były zupełnie jednoznaczne, a jego gotowość – doskonale wyczuwalna. A więc będą... uprawiać seks. Tutaj, zaraz, teraz. Śniła o tym nieskończoną ilość razy i te sny przynosiły jej rozkosz, której na jawie z nikim nie zaznała.

Ale czy była naprawdę gotowa na ten krok?

Czuła z instynktowną pewnością, że nie byłaby to przelotna, łóżkowa przygoda. Nie z Remy. Gdyby się przed nim otworzyła, gdyby się mu oddała, przeżyłaby doświadczenie, którego nie mogłaby zignorować ani zapomnieć. Doświadczenie, które dotknęłoby samej głębi jej osoby.

Nie, takiego kroku lekkomyślnie podejmować nie mogła... ale czekać nie mogła tym bardziej! Jej ciało, dotąd bierne, nagle przemówiło własnym głosem, o wiele potężniejszym niż podszepty rozsądku. Za nic sobie miało podpowiadający ostrożność asekurantyzm. Pragnęło tego mężczyzny, jego siły, jego intymnej bliskości. Gorąco, niemalże boleśnie tęskniło za pełnią wrażeń, które tylko on mógł jej dać... Angelique rozsunęła uda, rozplomieniona, tętniąca gotowością.

Powieki Remy'ego drgnęły, uniosły się powoli. Spojrzenie, w pierwszej chwili zupełnie mętne, wyostrzyło się nagle, a brwi podjechały do góry w wyrazie zaskoczenia.

– Co ty wyprawiasz?! – wykrztusił.

– Ja?! – Zmrużyła oczy. Cała namiętność w jednej chwili wyparowała. – Zauważ, że to ty na mnie leżysz. I miętosisz mój biust.

Remy spojrział na swoją dłoń wciąż obejmującą jej pierś z takim zdumieniem, jak gdyby po raz pierwszy w życiu przekonywał się, że posiada kończynę górną.

– Powinnaś była mnie obudzić! – powiedział z wyrzutem.

– Och, więc jesteś takim rutyniarzem, że dobierasz się do kobiet przez sen? – Uniosła brew.

– A ty jesteś siostrą miłosierdzia, która czuwa nad moim snem? – parsknął. – Ciekawe, jak daleko pozwoliłabyś mi się posunąć, zanim...

– Odczep się. Nie jestem tu z własnej woli, pamiętasz?

– Ja też nie – warknął. – Nie mam najmniejszej ochoty na twoje towarzystwo.

Wolała nie pytać, dlaczego wobec tego wciąż przygniata ją do łóżka. Nie chciała, żeby przestał to robić.

– A ja na twoje – prychnęła. – Byłabym szczęśliwa, gdybyś wreszcie poszedł do diabła.

Żadne z nich się nie poruszyło. Przez długą chwilę patrzyli na siebie w napięciu, świadomi bliskości swoich ciał. Ich przyspieszone oddechy splatały się ze sobą, a uderzenia serc, coraz gwałtowniejsze, odpowiadały sobie echem.

Remy cofnął się pierwszy.

– Powinniśmy chyba trochę przystopować – wymruczał, układając się po swojej stronie łóżka.

Angelique została sama. Przeniknął ją niemal bolesny żal, tęsknota za tym, co nie miało żadnych szans się ziścić.

– Ty tchórze – wybuchła, zanim zdążyła się zastanowić, co mówi. – Przyznaj się, że masz pietra. Wycofujesz się ze strachu, że mógłbyś... mnie polubić. Co by było, gdybyś zasmakował w tym, co czujesz, gdy jesteśmy razem? Przeraza cię to, bo jesteś zbyt małoduszny, żeby docenić taką niespodziankę. Nie znosisz, kiedy życie cię zaskakuje. To ty musisz nad wszystkim panować. Uwodzić i porzucać. A przywiązania do kogokolwiek boisz się jak ognia.

Przez chwilę patrzył na nią bez słowa.

– Nie rób sobie złudzeń – powiedział wreszcie. – Nie chcę, żebyśmy byli razem. Przyciągasz kłopoty i w dodatku uważasz, że to świetna zabawa. Nie zamierzam znosić twojego towarzystwa dłużej, niż to konieczne.

Przyczaiła się po przeciwnej stronie łoża, podciągając okrycie pod brodę. Remy jej nie chciał? Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Nie musisz się męczyć w moim towarzystwie, jeśli nie chcesz. Oddaj mi Tarrantloch, a zniknę z twojego życia, zanim zdążysz policzyć do dziesięciu – rzuciła i zamarła w oczekiwaniu.

– Co to, to nie – rozwiął jej nadzieje.

Boże, jak bardzo nienawidziła jego aroganckiego tonu, jego spojrzenia pełnego niechętniej wyższości. Miała ochotę rzucić się na niego z pazurami. Zamiast tego uniosła podbródek i posłała mu lodowate spojrzenie.

– Albo Tarrantloch, albo ja – powiedziała z determinacją. – Nie chcesz mi zwrócić mojej własności? Cóż, skoro tak, to obawiam się, że łatwo nie pozbędziesz się... żony.

– Myślisz, że nie wiem, co tu jest grane? – Kącik jego ust uniósł się w kpiącym uśmiechu. – Tarrantloch masz gdzieś, chcesz po prostu przypodobać się tatusiowi.

– Ha, ha, ha, to paradne. Naprawdę sądzisz, że opinia ojca na mój temat cokolwiek mnie obchodzi? – Nie mógł się chyba bardziej pomylić. – Nie sądź innych po sobie. Wiem, że marzysz o tym, żeby dziadek wreszcie cię docenił. Dlatego uczepiłeś się Tarrantloch; masz nadzieję, że taka zdobycz zrobi na nim wrażenie.

Teraz on zaśmiał się niewesoło.

– Już od dawna jestem samodzielny. Nie potrzebuję do szczęścia aprobaty Vittoria.

– Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że uważasz się za szczęśliwego człowieka? – spoważniała. – Nie jesteś szczęśliwy, Remy. Dlatego tak się miotasz. Ciągłe usiłujesz coś sobie udowodnić, ale nigdy nie będziesz zadowolony, bo nie potrafisz zaakceptować siebie takiego, jakim naprawdę jesteś.

– I kto to mówi?! – parsknął. – Kobieta, która katuje się dietą, je tylko sałatę, bo dodatkowy centymetr w talii to byłaby dla niej życiowa tragedia. Nie rozśmieszaj mnie.

Trafił w sedno, ale nie miała zamiaru przyznać mu racji.

– Taką mam pracę – ucięła. – Kontrakt określa...

– Określa, jakie masz mieć wymiary, jak gdybyś była okazem na wystawie rasowych zwierząt, a nie istotą ludzką. Twoich pracodawców nie obchodzi, jaka naprawdę jesteś. Masz wyglądać tak, żeby przynieść im jak największy zysk.

– Uważasz, że o tym nie wiem? – Splotła ramiona obronnym gestem. Czasami myślała o swojej pracy dokładnie w ten sposób i kończyło się to zawsze okropną chandrą.

– Nie wiążej mojej przyszłości z modelingiem – rzuciła lekko. – Mam inne plany.

O, tak, plany miała. Pytanie tylko, czy miała jakiegokolwiek szanse na ich realizację. Porzuciła przecież szkołę, nie poszła na studia. Jej kwalifikacje, by założyć własny biznes, były zerowe.

– Jakież to plany, jeśli można spytać? Zamierzasz upolować bogatego męża? – spytał z przekąsem.

– Cóż, gdyby tak było, wybitnie ułatwiłbyś mi zadanie – odparowała. – Ale nie to mam na myśli. Chcę projektować ubrania, a dokładniej, stroje wakacyjne i plażowe dla kobiet w każdym wieku.

– Naprawdę? – Szczere zainteresowanie w jego głosie dodało jej odwagi. Jeszcze nikomu nie mówiła o tym marzeniu, choć hołubiła je już od dawna, a nawet całkiem daleko posunęła się w jego realizacji: pierwszą kolekcję miała już opracowaną w szczegółach.

– Naprawdę – zapaliła się do tematu. – Uważam, że istnieje wielki rynek potrzeb, który jest właściwie ignorowany. Nie wszystkie kobiety są wieszakami na ubrania. Są ciężarne, są matki karmiące albo panie, które urodziły kilkoro dzieci i widać to po nich. Są kobiety kieszonkowe i koszykarki, chudzielce i puszyste, panie po mastektomii, na wózkach albo z nadwagą... Każda chce wyglądać pięknie i ma do tego święte prawo. Oglądając reklamy, można odnieść wrażenie, że piękno i elegancja są przywilejem kobiet idealnych. Ale prawda jest taka, że kobiet idealnych nie ma!

Remy uniósł się na łokciu i spojrzał na Angelique z pełnym zdumieniem uznaniem.

– Nie do wiary, że właśnie ty mówisz coś takiego.

– Właśnie ja mam podstawy, żeby mówić coś takiego. Wiem, jak ogromnego wysiłku wymaga dbanie o perfekcyjny wygląd.

– Nie wątpię. Pozwól sobie powiedzieć, że wyglądasz... naprawdę nieźle.

To zdanie, wymruczane gardłowo, było jak leniwa pieszczota. Angelique poczuła, że przenika ją rozkoszny dreszcz. A więc podobała mu się. Lubił na nią patrzeć. Lubił... Też mi nowina, odezwało się jej cyniczne alter ego. Prawdopodobnie statystyczna większość mężczyzn na kuli ziemskiej uznałaby ją za atrakcyjną. Wszystko dzięki proporcjom sylwetki – miała spory biust, który zawdzięczała genom matki. Wąziutka talia i idealnie jędrne pośladki były natomiast zasługą restrykcyjnej diety i niezliczonych godzin spędzonych w klubie fitness.

Gdyby zaczęła jeść jak człowiek i zrezygnowała z nudnych, wyszczuplających ćwiczeń na rzecz aktywności, która ją naprawdę interesowała, prawdopodobnie przytyłaby o rozmiar. Może nawet o dwa. Czy wtedy Remy nadal powiedziałby jej komplementy? Wątpliwe. Nad wyraz wątpliwe. Podobała mu się fasada, wizerunek, który sprzedawała. Prawdziwa kobieta, prawdziwa ona – budziła jedynie jego irytację. Nie była aż tak głupia, żeby się łudzić, że jest inaczej.

– Fakt, że jestem modelką, może dodać wiarygodności mojej marce – powiedziała rzeczowo. – Chciałabym wylansować...

– Jeśli zamierzasz wejść na rynek z własną marką, będziesz potrzebować kapitału. Niebagatelnego

kapitału – wpadł jej w słowo.

– Wiem. Mam pewne oszczędności, ale to o wiele za mało. Nie zamierzam się porywać z motyką na słońce. Jeżeli nie przygotuję się jak należy, zaliczę plajtę zaraz na samym początku.

– Myślałaś o pozyskaniu wspólnika?

– Rozmawiałam z kilkoma osobami, ale obawiam się, że nie zdołałam nikogo przekonać do mojej wizji... – urwała. Dlaczego nagle czuła potrzebę, by zwierzać się Remy'emu? To było co najmniej dziwne.

– Mógłbym uruchomić parę kontaktów. – Zmarszczył brwi w zamyśleniu. – Ale najpierw musiałbym zobaczyć twoje projekty. Nie zamierzam rekomendować niczego w ciemno. Jeżeli uznam, że masz szansę na sukces, wesprę cię.

Nie spodobał jej się ton, jakim to powiedział. Potrzebowała funduszy, a nie samozwańczego arbitra, który będzie oceniał jej prace. Zresztą, bez urazy, ale na modzie znała się chyba lepiej niż wielmożny pan Caffarelli. Dlaczego nie mógł choć raz po prostu uwierzyć, że ona jest w stanie zrobić coś wartościowego?

– Poradzę sobie bez twojej pomocy, Remy. – Nagły żal sprawił, że skrzywiła usta, a jej głos zabrzmiał bardzo chłodno. – Nie potrzebuję twoich pieniędzy. Wiesz, że chcę od ciebie tylko jednej rzeczy: oddaj mi moją ziemię.

– Nic z tego, *ma chérie*. – Zmierzył ją twardym, nieustępliwym spojrzeniem. – Wybacz, ale po tym, jak potraktował mnie twój ojciec, nie zamierzam być wielkoduszny. Oczerniając mnie, zniszczył reputację, na którą pracowałem przez lata. Teraz wielu potencjalnych kontrahentów traktuje mnie jak zapowietrzonego. Trudno powiedzieć, na jakie wymierne straty się to jeszcze przełoży, ale jedno jest pewne: odpłacę się Henry'emu pięknym za nadobne. Tarrantloch to dopiero początek.

– Och, co tam Tarrantloch – uśmiechnęła się słodziutko. – Nie bądź taki skromny. Odebrać czyjąś własność to nic, jeśli można wmanewrować córkę w małżeństwo. To jest dopiero zemsta jak się patrzy, możesz być z siebie dumny.

– Naprawdę myślisz, że poślubiłem cię z zemsty? – Remy wydał wargi i skrzyżował ramiona pod głową. – Zastanów się, Angelique. Kogo bym w ten sposób ukarał? Chyba samego siebie. Nie jestem, delikatnie mówiąc, entuzjastą małżeństwa, ale gdybym kiedykolwiek zdecydował się zmienić stan cywilny, na pewno nie związałbym się z kimś takim jak ty.

– Co dokładnie masz na myśli, mówiąc o „kimś takim jak ja”? Uważasz, że jestem wybrakowana?

– Nic takiego nie powiedziałem – zrejterował. – Po prostu nie sądzę, żeby był z ciebie dobry materiał na żonę.

– Ach, tak? A to dlaczego? – zaperzyła się.

– Dlatego, że nie jesteś typem kobiety, która marzy o mężu i dzieciach – powiedział niechętnie.

– Ojej, nie wiedziałam, że ty marzysz o dzieciach. – Zatrzepotała rękami.

– Ja? O dzieciach? – Zrobił tak przerażoną minę, że Angelique omal nie parsknęła śmiechem. –

Ależ skąd. Nie o to mi chodziło...

– Tylko o co? – dopytywała się. – Wy tłumacz mi, bo chyba nie do końca rozumiem.

Remy sprawiał wrażenie zupełnie zgubionego – rzadki i nader miły widok. Angelique bawiła się coraz lepiej.

– Na pewno byłabyś wspaniałą matką, ale...

– ...ale żoną byłabym beznadziejną?

– Małżeństwo mogłoby się okazać dla ciebie trudne. Kompromisy nie są, o ile się nie mylę, twoją mocną stroną.

– I kto to mówi?! – prychnęła. – Sam jesteś uparty jak osioł, autorytarny i zawzięty. Nie przeczę, że byłabym kiepską żoną, ale ty mężem byłbyś wprost koszmarnym.

– Zatem całe szczęście, że będziemy mogli wypisać się z tego interesu, kiedy tylko znajdziemy się w Europie. Jeszcze dziś, w Londynie, spotkamy się z prawnikiem i zażegamy tę katastrofę, jaką byłoby nasze małżeństwo.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Panie Caffarelli?

Remy zmarszczył brwi, wyrwany z głębokiego zamyślenia. Spodziewał się, że podróż z Dharbiri do Londynu będzie się nieznacznie dłużyć, a tymczasem sam nie wiedział, kiedy minęła. Może dlatego, że przez całą drogę zmagał się z pewną myślą, która dręczyła go niczym uprzykrzona mucha. Jechali do Londynu specjalnie po to, żeby załatwić unieważnienie małżeństwa. Potem każde z nich miało pójść w swoją stronę. A on czuł, że będzie mu brakowało Angelique.

Była bezczelna, impulsywna i niewiarygodnie wprost denerwująca. Ale w jej towarzystwie nie sposób było się nudzić. Stanowiła wyzwanie, a Remy uwielbiał wyzwania. Musiał przyznać, że podobały się mu słowne potyczki, w jakie co rusz się wdawali. Nie było łatwo dotrzymać jej kroku; musiał się naprawdę starać, żeby nie zapędziła go w kozi róg. Kobiety, z jakimi zazwyczaj się zadawał, nie posiadały nawet jednej setnej jej charakteru. W połączeniu z dziką, zmysłową urodą, ten charakter stanowił prawdziwą mieszankę wybuchową.

Kiedy Angelique zniknie za horyzontem, zagrozi mu śmierć z nudów. A stanie się to już niebawem, bo właśnie podjeżdżali pod kancelarię adwokacką. Podpiszą papiery i ich małżeństwo przestanie istnieć, po niecałych dwudziestu czterech godzinach od zawarcia. Ciekawe, czy pobili jakiś rekord w dziedzinie nietrwałości mariażu.

– Panie Caffarelli? – ponaglił szofer, nie doczekawszy się reakcji pryncypała.

– Słucham?

– Przed wejściem kłębi się tłum paparazzich. Czy w związku z tym chcą państwo zmienić plany?

– Oczywiście. Dziękuję, George. – Remy nie po raz pierwszy pogratulował sobie, że zatrudnił tak bystrego szofera. George miał niemal czterdzieści lat doświadczenia w zawodzie i kłopoty potrafił wyczuć na kilometr. Gdyby nie jego przytomność umysłu, jeszcze chwila, a sytuacja zupełnie przestałaby być śmieszna. – Jedź dalej, nawet nie zwalnij. Zaraz zadzwonię do prawnika, poproszę go, żeby spotkał się z nami gdzieś na mieście.

Kiedy mijali kancelarię, Angelique ostrożnie wyjrzała przez przyciemnioną szybę samochodu.

Rzeczywiście, przed drzwiami kancelarii przyczała się grupka osób w charakterystycznych, ciemnych strojach. Cały tłumek ludzi ubranych tak, żeby nie wyróżniać się z tłumu. Przyczajeni, rozglądali się czujnie, ukradkiem, starając się udawać, że w ogóle tego nie robią. Aparaty fotograficzne z teleobiektywami kryli za połami bluz.

– Skąd wiedzieli, że się tu pojawimy? – jęknęła, kryjąc twarz za ciemnymi okularami.

– Bóg jeden wie. – Zmarszczył brwi i, wpatrzony w okno ponad jej głową, sięgnął po telefon.

– Brad? – odezwał się po chwili, słysząc głos prawnika. – Wyglądałeś może ostatnio na ulicę?

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić. – Stary kumpel i etatowy prawnik Remy’ego skwitował widok za oknem bardzo niecenzuralnym komentarzem. – Rozumiem, że masz pilną sprawę; możemy się spotkać jeszcze dzisiaj, gdzie tylko chcesz.

– Dobrze, więc zrobmy tak...

– Zaczekaj! Ja też mam do ciebie sprawę, chyba jeszcze pilniejszą. Przed chwilą dzwonił Robert Mappleton. Dowiedział się o twoim ożenku z córką Henry’ego Marchanda i...

– Skąd się o tym, do ciężkiej cholery, dowiedział?! – Remy zacisnął palce na telefonie. W przyływie wściekłości miał ochotę cisnąć go za okno. A więc zaczęło się. Ktoś się wygadał, ktoś komuś powtórzył. Teraz nic już nie powstrzyma lawiny plotek.

– Dziwisz się, że stary, poczciwy Rob jest dobrze poinformowany? – zaśmiał się prawnik. – Facet zarządza wielomiliardowym, międzynarodowym finansowym imperium; jego macki sięgają daleko. Nawet na Bliski Wschód.

– A niech to jasny szlag – jęknął Remy z rezygnacją. – Co mi radzisz w tej sytuacji?

– Uspokój się i nie przerywaj, ot, co ci radzę. Mam dla ciebie znakomite wieści.

– Nie żartuj.

– A czy ja żartuję? Nie mogłeś się ożenić w lepszym momencie. Nie mogłeś wybrać właściwszej osoby. To było genialne posunięcie.

– O czym ty mówisz?

– Bob Mappleton...

– Bob Mappleton nie chce w ogóle ze mną rozmawiać po tym, jak mój nieoceniony teść wylał na mnie wiadro pomyj. Jest gotów robić interesy z każdym, byle nie z takim złobem, jak ja.

– Twoje informacje są nieaktualne – oświadczył prawnik z wyraźną satysfakcją. – Bob Mappleton specjalnie zadzwonił, żeby powiedzieć, że zmienił zdanie. Ba, chciał cię wręcz przeprosić, że pochopnie dał wiarę słowom Henry’ego. Jego zdaniem twoje małżeństwo z panną Marchand dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że rewelacje, jakie na twój temat rozgłaszał Henry, nie były prawdziwe. Kładzie je na karb rodzinnego nieporozumienia, w które nie zamierza wnikać. A teraz najważniejsze: Mappleton zapewnia, że z przyjemnością usiądzie do rozmów biznesowych z zięciem swojego serdecznego przyjaciela. Masz jego pełne zaufanie.

Remy słuchał bez słowa. Czuł, jak serce uderza mu szybciej, ciśnienie krwi wzrasta, aż do lekkiego szumu w skroniach. Miał wrażenie, że wyostrzyły mu się zmysły, jak drapieżnikowi przed skokiem na ofiarę.

Mappleton nosił się z zamiarem sprzedaży sieci hoteli zbudowanych w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku w nadmorskich kurortach na całym świecie. Budynek wymagały generalnego

remontu, a oferta hotelowa – gruntownego odświeżenia, co wpływało na cenę. Remy już dawno wykonał wszystkie obliczenia, i wyszło mu, że gdyby się ostro pogimnastykował, stać by go było na złożenie Mappletonowi atrakcyjnej propozycji zakupu. Jedno mistrzowskie posunięcie i Caffarelli powiększyłoby swoje imperium hotelarskie niemalże dwukrotnie! Deal na Teneryfie, który się nie powiódł, to był drobiazg w porównaniu z tą szansą, która z chwili na chwilę stawała się coraz bardziej realna.

Było tylko jedno „ale”.

Żeby sfinalizować transakcję z zagorzałym konserwatystą, jakim był Robert Mappleton, Remy nie mógł sobie pozwolić na anulowanie małżeństwa. Wręcz przeciwnie, musiał odgrywać rolę oddanego męża, tak długo, aż wyschnie atrament na akcie sprzedaży.

Zerknął na siedzącą obok Angelique. Z rozmowy, którą prowadził, zrozumiała dostatecznie dużo, żeby słuchać w napięciu. Zsunęła ciemne okulary i posłała mu spojrzenie groźne i ciemne jak chmura gradowa. Widział, jak zaciska usta, jak jej mięśnie tężeją od narastającej furii.

Ocenił ryzyko. Błyskawicznie przeanalizował swoje szanse. I powierzył się szczęśliwej gwiazdzie wszystkich hazardzistów.

– Dzwonź zaraz do Mappletona i umów spotkanie na koniec przyszłego tygodnia – powiedział z determinacją.

– Pod koniec przyszłego tygodnia?! – zdębiał prawnik. – Dlaczego pod koniec przyszłego tygodnia? Dlaczego nie jutro? Albo nawet dzisiaj?

– Za dziesięć dni, nie wcześniej – uciał Remy. – Teraz jestem zajęty. Jadę w podróż poślubną.

Zakończył rozmowę. Wyłączył telefon. I zaczął odliczać.

Raz...

Dwa...

– Co?! Co takiego? – wybuchła dokładnie w chwili, kiedy miał powiedzieć „trzy”. – Jaka podróż poślubna? Natychmiast unieważniamy małżeństwo, tak jak się umówiliśmy!

– Czy ktoś ci już mówił, jak pięknie wyglądasz, kiedy się gniewasz? – spytał z szerokim uśmiechem.

Zobaczył, jak Angelique zaciska swoje drobne dłonie w pięści, i przelotnie pomyślał, że to dobry znak. Przynajmniej nie użyje paznokci...

– Nawet nie próbuj na mnie swoich sztuczek, Caffarelli – syknęła. – Nic nie działasz. Umówiliśmy się, że jeszcze dzisiaj unieważniamy małżeństwo. Absolutnie się nie zgadzam, żebyś arbitralnie wprowadzał nowe zasady gry. Spotykamy się z prawnikiem, podpisujemy papiery i koniec, kropka.

– A co, jeśli oboje możemy zyskać na zmianie zasad gry? – zarzucił przynętę.

– Mów dalej. – Przechyliła głowę, uśmiechnęła się krzywo. – Zamieniam się w słuch.

– Wesprę twój projekt – powiedział szybko. – Zapewnię ci fundusze na start i sieć kontaktów, dzięki którym ominiesz rafa. Mam możliwości, które pozwolą ci praktycznie z dnia na dzień wylansować markę na poziomie europejskim, jeśli nie światowym.

Popatrzyła na niego nieufnie, jak dzikie zwierzątko, które waha się, czy wziąć smakołyk z ręki nieznanego.

– Jak długo będę musiała być... twoją żoną? – Zmarszczyła brwi.

– Niedługo – oświadczył z przekonaniem. – Tylko kilka tygodni. No, może miesięcy. W tym czasie ty rozkręcisz swój biznes, a ja przeprowadzę pewną bardzo korzystną transakcję. Zobacysz, ani się obejrzymy, a będzie po wszystkim.

Nie odpowiedziała. Spojrzała w okno, głęboko zamyślona. Remy czekał, wpatrzony w nią z napięciem, jak gracz obserwujący piłeczkę skaczącą po polach ruletki. Czuł, że wygraną ma na wyciągnięcie ręki...

– Mam rozumieć, że jeśli zdecyduję się założyć firmę, mogę liczyć na pomoc finansową z twojej strony, w formie pożyczki, którą spłacę, kiedy stanę na nogi? – spytała, cedząc słowa.

– Oczywiście – pospieszył z zapewnieniem. – Mogę ci też zaoferować pomoc mojego zespołu menedżerskiego w tworzeniu biznesplanu...

– Chcę więcej – przerwała mu.

Zaniemówił.

Czego mogła chcieć? Więcej pieniędzy...? A może... seksu? W obu wypadkach mógł uatrakcyjnić ofertę.

– Jeśli życzysz sobie, żeby nasze małżeństwo było czymś więcej niż tylko związkiem na papierze, nie ma problemu – zasugerował gładko. – Do partnerstwa w biznesie możemy dołączyć... dodatkowe korzyści. Masz moje słowo, że podczas trwania małżeństwa nie będę nawiązywał innych relacji. Nie mam skłonności do poligamii i możesz być pewna, że uszanuję przysięgę, dopóki będzie obowiązywała. Spodziewam się, że ciebie także będzie na to stać, bo nie zamierzam pozwolić, żebyś zrobiła ze mnie rogowca.

Angelique słuchała uprzejmie, mierząc Remy'ego spojrzeniem pełnym politowania, jak gdyby właśnie opowiedział wybitnie kiepski żart.

– Wszystko to pięknie, tylko że ja nie mam najmniejszej ochoty z tobą sypiać – wycedziła wreszcie, zadzierając podbródek.

Och, czyżby, pomyślał Remy. Zbyt dobrym był obserwatorem, żeby tak po prostu uwierzyć w jej hardą deklarację. Miała na niego ochotę. I to jaką! Dostrzegał to w spojrzeniach, które rzuciła mu ukradkiem, kiedy była przekonana, że nie patrzy. Stałowa szarość jej oczu miękła wtedy, zasnuwała się zmysłową mgłą. W jej wzroku była namiętna tęsknota i pierwotny głód. Zaraz jednak brała się

w garść, skrywała emocje, maskowała je chłodem i sarkazmem.

Pragnęła go. Nie chciała się do tego przyznać, była na to zbyt dumna. Zmagala się ze sobą i Remy musiał przyznać, że był to piękny widok. Uwielbiał kobiety z charakterem, a nie spotkał jeszcze żadnej, która miałaby tyle charakteru co Angelique. Napięcie między nimi aż iskrzyło, ale ona prędzej chyba by implodowała, niż poddała się pierwsza. Była... jedyna w swoim rodzaju. Kobiety, które zazwyczaj spotykał, garnęły się do niego, nawet jeśli w ogóle ich do tego nie zachęcał. Bywało nieraz, że jakaś laska wskakiwała mu do łóżka tylko dlatego, że wcześniej popełnił nieostrożność i uśmiechnął się do niej. A jeśli jednego wieczoru uśmiechnął się do kilku dam, to bywało, że szturmowały grupowo jego sypialnię. Z Angelique sprawy miały się zgoła inaczej. Gdyby się do niej uśmiechnął, z całą pewnością odpowiedziałyby ponurym, morderczym spojrzeniem. Gdyby się do niej zanadto zbliżył, ryzykowałby, że rzuci się na niego z pazurami. Ale jeśli myślała, że takie zachowanie go zniechęci, to grubo się myliła.

Remy w życiu najbardziej cenił sobie wyzwania, a Angelique była wspaniałym wyzwaniem. Obiektem pożądania. Najwyższą stawką w grze. Choć fantazjował o niej od lat, nigdy jeszcze nie myślał poważnie, że mógłby ją zdobyć; przeciwnie, starał się trzymać od niej z daleka, jak od zakazanego owocu. Ale przecież nigdy jeszcze nie była jego ślubną żoną! Teraz sytuacja zmieniła się diametralnie. Nie dość, że mieli przez pewien czas pozostać małżeństwem, to w dodatku cały świat dowie się o ich związku. W tych okolicznościach każdy rozsądny gracz zmieniłby strategię... i wyciągnął maksimum korzyści z nowego układu. Kilka miesięcy z Angelique Marchand w roli oficjalnej żony i prywatnej kochanki... to była z pewnością bardzo atrakcyjna opcja. Mężczyźni na całym świecie będą mu zazdrościli. A on, kiedy wreszcie zakosztuje smaku zakazanego owocu, raz na zawsze uwolni się od obsesji, której na imię Angelique.

Kiedy podjął decyzję, poczuł niespodziewaną ulgę i szalony, radosny dreszcz oczekiwania.

Ta bezczelnie zmysłowa i uparcie niezależna kobieta będzie należeć do niego. Zdobędzie ją. Doprowadzi tam, gdzie od zawsze chciał ją mieć – do swojego łóżka.

– Zgodzę się zostać twoją żoną przez kilka najbliższych miesięcy – rzuciła Angelique, mierząc go wyniosłym spojrzeniem udzielnej księżnej – mam jeden warunek. Niezbywalny warunek.

– Mów. – Remy poczuł, że włoski na karku podnoszą mu się jak naelektryzowane. Przeczynał, że zbliża się niebezpieczeństwo.

Uśmiechnęła się, unosząc kąciki ust. To był bardzo drapieżny uśmiech.

– Ceną za moją współpracę jest Tarrantloch – powiedziała powoli. – Razem z papierami rozwodowymi podpiszesz akt darowizny. Na rzecz twojej drogiej byłej żony, rzecz jasna.

Tylko wieloletni trening pozwolił Remy'emu zachować pokerową twarz. Mógł się tego spodziewać! Angelique była jak pies posokowiec; kiedy raz się w coś wgrzyła, nie rozwierała

szczęk. To po prostu nie leżało w jej naturze.

W sumie, cała sytuacja była śmieszna. Byli po ślubie, a intercyzy nie podpisali – jego szanowna małżonka mogła śmiało zażądać połowy przypadającego mu majątku Caffarellich. Wielkiej góry pieniędzy albo wora brylantów. Ale nie, ona musiała uczeplić się jedynej rzeczy, z której nie zamierzał zrezygnować.

Tarrantloch to było trofeum, symbol zwycięstwa. Jeszcze się nim nie nacieszył, jeszcze nawet nie zdążył go odwiedzić. Poza tym intuicja mu mówiła, że to właśnie miejsce będzie kamieniem milowym w jego życiu, jakimś obiecującym, nowym początkiem. A on zbyt wiele zawdzięczał swojej intuicji, żeby lekceważyć jej głos.

– To wygórowana stawka – zauważył, marszcząc brwi.

– Tak sądzisz? – uśmiechnęła się słodko. – Cóż, ja jestem innego zdania. Jeśli chcesz, żebym odgrywała rolę twojej żony, musisz za to zapłacić.

– Jeśli mam płacić – odpowiedział jej uśmiechem – to muszę wiedzieć, za co płacę. Chcę czegoś więcej niż tylko gry pozorów.

W jej szarych oczach pojawiła się czujność.

– Czegoś więcej? Jak to: więcej? – zaniepokoiła się.

Zmierzył ją bardzo jednoznacznym spojrzeniem.

– Myślę, że doskonale wiesz, o czym mówię.

– Żartujesz sobie? – prychnęła.

– Bynajmniej. Tarrantloch to zabytkowy obiekt w wyjątkowym miejscu, nieruchomość warta ogromne pieniądze. Oddam ją tylko wtedy, kiedy będę przekonany, że otrzymałem równie dużo w zamian.

Przez długą chwilę patrzyła na niego bez słowa, z miną osoby obserwującej wyjątkowo ohydny okaz entomologiczny.

– Żałuję – powiedziała wreszcie, cedząc słowa – że nie oddałam się w ręce władz Dharbiri. Co by mi groziło? Biczowanie na miejskim placu? Byłby to mniejszy zamach na moją godność niż twoja skandaliczna propozycja!

Remy uśmiechnął się szeroko, rozsiadł się wygodniej i położył ramię na oparciu kanapy. Jego palce, zupełnym przypadkiem, musnęły kark Angelique.

– Co jest skandalicznego w tym, żeby kochać się z mężczyzną, którego pożąda się skrycie od lat? – spytał tonem autentycznego zaciekawienia.

Aż podskoczyła.

– Myślisz, że cię skrycie pożadam?! – Wykrzywiła usta. – Nie chcę cię martwić, ale chyba cierpisz na urojenia! Nie pożadam cię. Ja ciebie nie trawię!

Remy nie przestawał się uśmiechać.

– Och, ja ciebie też nie trawię – oświadczył jowialnie. – A jednak z rozkoszą skonsumowałbym nasze małżeństwo. I idę o zakład, że ty czujesz to samo. Nie będziesz w stanie mi się oprzeć.

Angelique długo szukała słów.

– Nie rozumiem, dlaczego się upierasz – powiedziała wreszcie. – Wiem przecież, że nic do mnie nie czujesz. Musisz po prostu postawić na swoim.

– Mylisz się, moja droga – spoważniał. – Jest wiele rzeczy, które do ciebie czuję. Przede wszystkim chcę cię mieć. A kiedy ja czegoś chcę, zdobywam to.

– Cóż, trafiła kosa na kamień. – Jej oczy zaśniły zimnym, stalowym blaskiem. – Bo ja nie zamierzam być niczyją zdobyczą i twoje szowinistyczne fanfaronady niewiele mnie obchodzą. Chcesz się ze mną przespać? Najpierw musiałbyś mnie chyba przywiązać do łóżka!

– Świetny pomysł – podchwycił. – Nie mogę się doczekać, aż wprowadzimy go w czyn!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Panie Caffarelli, nie przesadzę, jeśli powiem, że wiadomość o pańskim ślubie z Angelique Marchand wywołała ogromną sensację. Nikt się nie spodziewał, że tak nagle porzuci pan kawalerski stan. Czy zechce pan uchylić rąbka tajemnicy, którą okrywaliście dotąd waszą miłosną historię? – ponad wrzawę wykrzykiwanych pytań wybił się głos najbardziej agresywnej dziennikarki. Młodzi państwo Caffarelli nie mogli po prostu uciec, bo tłumek dziennikarzy skutecznie blokował wejście do hotelu.

Angelique zmyliła krok. Była przyzwyczajona do blasku fleszy, ale nigdy jeszcze nie miała tak silnego wrażenia, że dziennikarze osaczają ją niczym wataha wilków. Remy nawet na moment nie stracił rezonu.

– Powiem tylko – uśmiechnął się do wycelowanego weń czarnego oka kamery – że nawet moja najbliższa rodzina nic jeszcze nie wie o zmianie, jaka zaszła w moim życiu. Rafe, Raoul, jeżeli to oglądacie, chciałbym was przeprosić, że o moim ożenku dowiadujecie się z telewizji. Ciebie też przepraszam, *Nonno*. Założę się, kochani bliscy, że takiego rozwoju wypadków nie przewidzieliście! Cóż, powiem wam szczerze, że ja też go nie przewidziałem. Wielokrotnie wszak zarzekałem się, że pozostanę wierny stanowi kawalerskiemu. Ale przyszła kryśka na matyska. Zakochałem się na zabój i dawne przekonania poszły w kąt...

Angelique sapnęła z oburzenia, ale umilkła, kiedy ścisnął jej dłoń.

– Uśmiech na twarz, moje ty kochanie – syknął, pochylając się ku niej. – Przedstawienie czas zacząć.

– Nie będę... – zaczęła.

– Angelique. – Inny dziennikarz przepchnął się na czoło stada i podetknął jej mikrofon pod nos. – Nasi słuchacze koniecznie chcą się dowiedzieć szczegółów o pani sekretnym ślubie z Remyem Caffarellim. Dotarły do nas zdjęcia ukazujące ten wzruszający moment, wiemy więc, że miała pani na sobie przepiękną, oryginalną suknię we wschodnim stylu. Prawdziwe dzieło sztuki.

– Nasz ślub odbył się w niezwykle romantycznej scenerii. – Remy wysunął się naprzód, zanim Angelique zdążyła cokolwiek powiedzieć. – Prawda, *mon amour*? Połączenie egzotyki i tradycji sprawiło, że była to ceremonia jedyna w swoim rodzaju.

– O, tak. – Rozciągnęła usta w uśmiechu, tyleż promiennym, co sztucznym. – To była bardzo tradycyjna ceremonia. Nie uwierzą państwo, jak bardzo...

– Proszę nam wybaczyć, ale nie mamy już więcej czasu. – Remy otoczył ramieniem plecy Angelique. – Czeka nas podróż poślubna...

Jego głos utonął we wrzawie.

– Czy to prawda, że nie podpisali państwo intercyzy? – padło kolejne pytanie z tłumu.

– Owszem, prawda. – Angelique uśmiechnęła się wdzięcznie. Czowała, że ją również zaczyna wciągać ta gra. – Mój mąż nie wymagał rozdzielności majątkowej, a to dowodzi, że jestem prawdziwą szczęściarą. Remy kocha mnie do szaleństwa, w dosłownym znaczeniu tego słowa.

– Czy mogliby państwo pokazać nam obrączki? – zawołał ktoś.

– Niestety, nie zdążyliśmy... – zaczął Remy.

– Obrączki nie są jeszcze gotowe – wpadła mu w słowo Angelique. – Pobraliśmy się w nieprzyzwoitym pośpiechu, prawda, mój drogi? Zdradzę państwu, że Remy nie chciał słyszeć o dłuższym narzeczeństwie. Piorun sycylijski trafił go bez pudła.

Posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

Odwzajemniła mu się bezczelnym uśmiechem.

– Owszem, przyznaję się do winy – zwrócił się do kamer, robiąc dobrą minę do złej gry. – Nie mogłem się doczekać tej szczęśliwej chwili, gdy Angelique zostanie moja na zawsze. A teraz zechcą państwo wybaczyć...

– Jeszcze jedno pytanie. Angelique, czy sądzi pani, że mariaż z Remym zażegna wieloletni spór pomiędzy pani ojcem i Vittoriem, nestorem rodu Caffarellich?

– Ja... hm... – zająknęła się Angelique.

– Jestem pewien, że Henry Marchand będzie uszczęśliwiony, kiedy się dowie, że jego córka poślubiła mężczyznę, który wielbi ślady jej stóp – oświadczył Remy gładko.

– Chce pan przez to powiedzieć, że ojciec panny młodej jeszcze o niczym nie wie? – podchwyciła stojąca z przodu dziennikarka. – Nie prosił go pan o rękę córki?

– Oczywiście, że nie. – Remy nie musiał się starać, żeby wypaść przekonująco. Dostawał białej gorączki na myśl o tym, że miałby hołdować durnym obyczajom rodem z dziewiętnastego wieku. – Angelique jest pełnoletnia i może stanowić o swoim życiu bez konieczności pytania ojca o zdanie. A już na pewno nie potrzebuje niczyjej aprobaty, by poślubić mężczyznę, którego pokochała we wczesnej młodości.

– Czy potwierdza to pani? – Dziennikarka natarła na Angelique, celując w nią mikrofonem.

– Co takiego? – cofnęła się lekko.

– Czy potwierdza pani, że od dawna kochała się skrycie w Remym Caffarellim? – Reporterka kontynuowała indagację, absolutnie niespieszona niedyskrecją swoich pytań.

– Och, tak. – Angelique miała ochotę zgrzytać zębami, ale zamiast tego posłała dziennikarce rozmarzony, szeroki uśmiech. Ostatecznie, gdy szło o pozowanie, była profesjonalistką. – Remy był moją pierwszą i najbardziej szaloną miłością. A jak wiadomo, stara miłość nie rdzewieje.

– Proszę nam wybaczyć, ale musimy już iść. – Remy zdecydowanie objął Angelique ramieniem. – Pobraliśmy się zaledwie wczoraj. Rozumieją chyba państwo, że odpowiadanie na niekończącą się litanie pytań nie jest zajęciem, które w tej chwili zajmuje wysoką pozycję na liście naszych priorytetów.

To powiedziawszy, ruszył do hotelowego lobby, trzymając Angelique w żelaznym uścisku. Musiała niemalże biec, żeby za nim nadążyć.

– Wolnego – szarpnęła się. – Mam wysokie obcasy! Czy naprawdę chcesz, żeby to żenujące przedstawienie skończyło się tym, że na oczach paparazzich wywinę orła?

– Spokojnie – warknął, ale zwolnił. – Nie rób scen. Jeśli chcesz, żeby nasze małżeństwo skończyło się korzystnie dla nas obojga, radzę ci nie wypadać z roli słodkiej żoneczki.

– Korzystnie dla nas obojga...? Czy mam przez to rozumieć, że postanowiłeś jednak oddać mi Tarrantloch? – ożywiła się.

– Nie tak szybko. Przekonasz się w swoim czasie.

Stanęła jak wryta.

– Tak czy nie? – wycedziła. – Jeśli natychmiast nie otrzymam wiążącej odpowiedzi, zrobię w tył zwrot i powiem tym wszystkim dziennikarzom, że nasze małżeństwo to jedna wielka ściema.

– Nigdzie nie pójdziesz. – Zacisnął palce na jej nadgarstku. – Nie radzę ci działać na moją niekorzyść. Twój ojciec przekonał się już, że to nie popłaca. Chcesz być następną?

Zareagowała tak, jak się spodziewał.

– Naprawdę sądzisz – spytała, unosząc podbródek – że groźbami zmusisz mnie do posłuchu?

– Sądzę, że dojdziemy do porozumienia – odparł beztrąsko. – Metoda ma dla mnie drugorzędne znaczenie.

Zaaferowany dyrektor hotelu osobiście przyjął młodą parę, gratulował im wylewnie i życzył szczęścia. W imieniu zespołu zapewniał, że wszyscy czują się zaszczytzeni, że państwo Caffarelli wybrali ten właśnie hotel, żeby rozpocząć podróż poślubną, i z przyjemnością informował, że czeka na nich apartament dla nowożeńców. Na koszt firmy, oczywiście.

– O nie, tylko nie to – prychnęła wściekle Angelique, kiedy, podziękowawszy dyrektorowi, prowadził ją do windy. Na wszelki wypadek nie rozluźnił uścisku na jej nadgarstku. Mógł się założyć, że usiłowałyby czmychnąć.

Piękna złośnica, pomyślał, patrząc na nią spod oka. Za chwilę znajdą się sami w luksusowym apartamencie. Krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach. Och, jakże miał dosyć kobiet, które robiły do niego maślane oczy, gotowe na wszystko, żeby tylko poświęcił im godzinę swojego cennego czasu. Angelique stanowiła bardzo odświeżającą odmianę. Poskromi złośnicę. Ta myśl przeszła jego lędźwie ostrym, rozkosznym dreszczem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Co ty wyprawiasz? – Angelique szarpnęła się, kiedy bez ostrzeżenia chwycił ją w ramiona, podniósł i ruszył ku drzwiom apartamentu. – Łapy przy sobie! Puszczaj mnie natychmiast!

– Ależ kochanie – mocniej przycisnął ją do siebie, kiedy zaczęła okładać pięściami jego tors – trzeba uhonorować pradawny obyczaj.

– Jaki... znowu... obyczaj? – wysapała, wciąż grzmocąc go pięściami. Niestety, ciosy nie robiły na nim najmniejszego wrażenia.

– Jesteśmy przecież nowożeńcami. Powiniennem przenieść cię przez próg, tego wymaga tradycja – wyjaśnił.

– Ja ci dam tradycję! – Wykręciła się i walnęła go kolanem w plecy.

– To wszystko, na co cię stać? – spytał grzecznie, kiedy drzwi zamknęły się za nimi z cichym trzaskiem.

– Dopiero się rozkręcam. – Wymierzyła mu kolejnego kopniaka, gubiąc przy okazji but. – Nie mów potem, że cię nie ostrzegałam!

Postawił ją na ziemi, ale nie wypuścił z ramion; byli tak blisko siebie, że czuła wyraźnie gorącą twardość jego ciała.

– Ja też dopiero się rozkręcam – wymruczał i przykrył ustami jej usta.

Pocałunek był szorstki, niemal brutalny. Jej pierwszą reakcją była ucieczka; cofnęła się gwałtownie, spłoszona jak dzikie zwierzątko. Ale za plecami poczuła tylko chłód solidnych, zamkniętych drzwi apartamentu. Droga została odcięta, pozostawał atak. Agresja, z jaką odwzajemniła pocałunek, dla niej samej była zaskoczeniem. Przemówiła cała wściekłość, cały bunt, emocje skrywane przez długie lata pod maską sztucznego uśmiechu. Angelique wspięła się na palce, chwyciła Remy'ego za włosy obiema garściami i pociągnęła z całej siły, wgrzyzając się w jego usta. Nie obchodziła ją już gra pozorów. Chciała prawdy, chciała ją wykrzyczeć. Ale słowa nie mogły pomieścić tego, co pragnęła wyrazić; pozostawały więc czyny. Pozostawało szaleństwo, w które zanurkowała bez namysłu i bez najmniejszego wahania.

Czy powinna się wstydzić, że postępuje głupio i impulsywnie? Czy Remy wyśmiej ją, uznając, że – skoro poddała się emocjom – poniosła porażkę w grze, która się między nimi toczyła? Angelique zrozumiała nagle, że nic ją to nie obchodzi. Była to świadomość wyzwalająca. Upajające uczucie dzikiej wolności ogarnęło ją, wypełniło jej płuca jak czysty tlen. Niecierpliwymi palcami opłotła kark Remy'ego i przycisnęła się jak najbliżej do jego piersi. Jego reakcja była natychmiastowa. Objął jej biodra i zamknął w żelaznym uścisku. Czuła wyraźnie, że dłonie mu drżą od ledwo

hamowanej żądz. Kiedy natarł wargami na jej usta, zagarniając je i miażdżąc, w jego gwałtowności bezbłędnie rozpoznała prawdę. On też odrzucił grę pozorów. Już nie bawił się jej kosztem, niczego nie próbował jej udowodnić, nie usiłował doprowadzić jej do kapitulacji. I oto dialogowali jak równi sobie, odpowiadając zapalczywością na zapalczywość, namiętnością na namiętność, szczerością na szczerść.

Jęknęła bezwiednie, czując napór jego męskości. Ten dotyk, gorący pomimo dzielących ich warstw ubrania, był jak wykrzyknik w jej myślach, jak czerwony blask słońca pod zamkniętymi powiekami. Burzący spokój i przenikający rozkoszą. I nagle nie istniało już nic, tylko ten dotyk, oraz dzikie, nieokiełznane pragnienie, żeby być bliżej, jeszcze bliżej. Poczuć go... mocniej. Jej wnętrze pulsowało niemalże bolesną tęsknotą. Pragnęła jego siły. Zuchwałej natarczywości. Chciała, żeby wdarł się w nią, wypełnił ją swoją mocą. Chciała, żeby zatracił się w niej, a ona opłotłaby go nogami i uwięziła w ramionach, na długo, aż rozkosz odebrałaby mu siły i oddała go w jej władanie.

Jęknęła znowu, głucho, nagłaco. Zrozumiał. Odpowiedział jej jeszcze bardziej śmiałą pieśczołą, wtargnął językiem w słodką wilgoć jej ust. Poczwała, jak jego zręczne dłonie znajdują zapięcie jej sukienki i w następnej chwili suwak na plecach ustąpił z cichym trzaskiem. Kiedy chłód powietrza musnął jej nagą skórę, zadrżała, choć zupełnie nie było jej zimno. On cofnął się o krok i jednym ruchem zdarł ubranie z jej ramion, obnażając piersi. Nie próbował być delikatny. I dobrze; nie oczekiwała tego. Stała przed nim półnaga, bezbronna wobec jego pociemniałego spojrzenia, czując, jak ogarnia ją płomień.

Chciał dotknąć jędrnych, kremowych półkul jej piersi, musnąć palcami jasnorożowe sutki, stwardniałe, zawadiacko sterczące ku górze. Nie zdążył. Ruszyła na niego, dzika jak bachantka. Jej szare oczy płonęły, włosy, nie wiadomo kiedy uwolnione z upięcia, opadały wzburzonymi, ciemnymi falami na nagie ramiona. Usta miała obrzmiałe od pocałunków, rozchylone, głodne...

Nie bawiła się w rozpinanie mu koszuli. Od razu sięgnęła do paska spodni. Niecierpliwość zamrowiła w opuszkach jej palców, gdy beczelnie nurkowały w szczelinę rozpiętego rozporoka. Jego męskość była gorąca, twarda jak skała, naprężona niczym cięciwa łuku. Pogładziła całą imponującą długość, zamknęła w dłoni pulsującą, skupioną żądzę. Remy jęknął chrapliwie, a ona uśmiechnęła się z triumfem. Rozochocona, zuchwała, ponowiła pieśczołą, rozkoszując się jedwabistą miękkością dotyku. Poczwała, jak jego lędźwiami wstrząsa dreszcz, zapowiadający nadciągające trzęsienie ziemi.

W następnej chwili Remy wyrwał się spod jej kontroli. I błyskawicznie zaatakował. Westchnęła z zaskoczenia i ekscytacji, kiedy uwięził jej nadgarstki w uścisku. Sama nie wiedziała, jak to się stało, ale w następnej chwili ramiona miała wykręcone do tyłu i skutecznie unieruchomione. Mogła tylko patrzeć, jak Remy, przytrzymując ją jedną ręką, drugą sięga do jej ubrania, z zupełnie jednoznacznym zamiarem.

Za moment będzie naga. I całkowicie w jego mocy. Szarpnęła się, a kiedy nie ustąpił, poczuła

rozkoszny dreszcz. Sukienka opadła do jej stóp. Angélique rozchyliła usta w niemym ponagleniu, a on odpowiedział, bezceremonialnie zdzierając z jej bioder koronkowe majtki. Przez chwilę mierzył ją wzrokiem, kiedy stała przed nim ubrana tylko w pończochy i pantofle na wysokim obcasie, a potem porwał ją w ramiona, zaniósł do sypialni i rzucił na łóżko.

Przez chwilę zatraciła się we własnych odczuciach. Jeszcze nigdy, nigdy w życiu nie doświadczyła tak wszechogarniającego pożądania. Czasami tylko... śniła o czymś podobnym. Ale nie dawała wiary tym snom. Teraz, kiedy przekonywała się, że jawa może być stokroć wspanialsza od najpiękniejszych snów, czuła, jak narasta w niej moc. Wyciągnęła do niego ramiona, władczo, rozkazująco.

Usłyszał. Jednym ruchem zrzucił koszulę, energicznym kopnięciem pozbył się spodni. I ukląkł przed nią na łóżku, obejmując jej biodra. Rozsunęła uda, a on ukrył twarz tam, gdzie w ich złączeniu biło źródło jej kobiecości.

– Jesteś taka gorąca i wilgotna... taka gotowa dla mnie – wymruczał.

– Tak – wyprężyła się. – Tak, tak, tak!

Nie czekał dłużej. Wciąż na kolanach między jej nogami uniósł się, poderwał do góry jej biodra i wdarł się w nią jednym potężnym pchnięciem.

Jej ciało targnęło się w odruchowym proteście, gdy wniknął w jej ciasne wnętrze. Był... wielki, tak wielki, że zdawał się wypełniać ją całą, bez reszty, aż do zdławienia oddechu. Zacisnęła powieki. Przez chwilę miała wrażenie, że jego bliskość to więcej, niż mogłaby znieść.

W następnej chwili poczuła, że Remy nieruchomieje.

– Zrobiłem ci krzywdę? – Tylko jego ochrypy głos zdradzał, z jakim trudem panuje nad sobą. Jego mięśnie stężały, kiedy narzucił ciału żelazną kontrolę woli.

– Nie, nie! – wyszeptała szybko. – Po prostu... nie mam wielkiej wprawy... minęło trochę czasu, odkąd ostatnio... – zamilkła, speszona. Poczuła, jak pieką ją policzki i kącik jej ust zadrgał w uśmiechu autoironii. Ależ sobie znalazła moment, by płonąć się jak piwonia.

Wciąż w niej zanurzony, idealnie płynnym ruchem pochylił się i ułożył ją na poduszkach, jak gdyby była kruchym, bezcennym klejnotem, a nie kobietą z krwi i kości.

– Ile czasu minęło? – spytał, zaglądając jej w oczy.

– Kilka miesięcy... – Odwróciła spojrzenie. – Może rok. Albo dwa.

– Dwa lata? – Zmarszczył brwi. – Od dwóch lat nie miałaś mężczyzny?

Milczała. Nie bardzo mogła zebrać myśli.

– Ale przecież prasa...

– Może cię to zaszokuje, ale zdarza im się napisać nieprawdę – wysapała. Czy musieli rozmawiać o tym teraz? Teraz, kiedy jego gorąca obecność wypełniała jej ciało pulsującą zapowiedzią rozkoszy...

Uniosła ręce, obrysowała palcami linię jego barków, powoli, lekko muskając skórę, by po chwili wzmocnić pieszczotę i naznaczyć muskularny tors czerwonym szlakiem paznokci.

– Nie rozumiem. Dlaczego...? – Remy wpatrywał się w nią z napięciem.

Nie chciała przedłużać tej rozmowy. Nie mogła. Wołała już wyznać mu prawdę.

– Bo ja... nie jestem entuzjastką seksu. Myślę... myślę, że jestem oziębła.

Nie odpowiedział. Zamiast tego wybuchnął śmiechem. Ten śmiech, swobodny i serdeczny, wyzwolił jego ciało z bezruchu. Delikatne drgania stały się intymną pieszczotą, a Angelique odpowiedziała na nią, zaciskając swoje ukryte mięśnie wokół jego męskości, doprowadzając go na skraj szaleństwa.

Nie mógł przestać się śmiać i kochał się z nią z tym śmiechem, aż roześmiała się też i ona. A potem ucichli i nie było już słów ani spojrzeń, nie było żadnych myśli, tylko ich przyspieszone oddechy, tylko ramiona, obejmujące się mocno, z całą siłą szczerości, i usta szukające po omacku kojącego zjednoczenia. Kobiecość i męskość, wyswobodzone z niewoli pozorów i uprzedzeń, przemówiły pełnym głosem. A kiedy osiągnęły strzeliste unisono, przywołały ekstazę potężniejszą niż constans czasu i przestrzeni, uwalniającą od hegemonii świadomości.

Angelique krzyknęła. Głośno, tak głośno, jak dyktowała to rozkosz, która eksplodowała w jej ciele. Krzyknęła, bo tylko tak mogła wyrazić instynktowny zachwyt nad wspaniałością życia. Nad pełnią życia, które tętniło w niej, dotykalne, bliskie. Pierwszy raz od wielu, wielu lat czuła się zupełnie wolna. I autentycznie szczęśliwa.

Kiedy uniesienie minęło, pozostawiając spokojną błogość, wtuliła się w ramiona Remy'ego. A więc tak właśnie smakuje erotyczne spełnienie, pomyślała mgliście. Teraz mogła zrozumieć, dlaczego wielu ludzi miało bzika na punkcie seksu. Posłała swojemu kochankowi senne spojrzenie. Boże, ależ był piękny... złocisty, ciemnooki. Nawet w tej chwili jego rysy miały w sobie coś groźnego. Gęsta, kasztanowa czupryna, dość zabawnie potargana, aż się prosiła o to, żeby zanurzyć w niej palce. Za moment, pomyślała, zamykając oczy. Za moment wróci do akcji. Było przecież jeszcze tyle rzeczy do odkrycia, do posmakowania... ale najpierw, przez chwilę, będzie się cieszyć prostą bliskością tego mężczyzny, ciepłem jego ramion, które wypełniało ją poczuciem bezpieczeństwa. Poczuciem całkowicie irracjonalnym, bo przecież... właśnie przespała się z wrogiem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Remy przekręcił się na plecy i przeciągnął leniwie, smakując wyjątkowo głębokie spełnienie. Czuł się jak, nie przymierzając, lew, syty i zadowolony król życia. W kwestiach seksu nie był nowicjuszem; już od dawna uważał, że nic nie jest w stanie go zaskoczyć. A jednak... nigdy jeszcze nie przeżył doświadczenia o takiej intensywności, jak z Angelique. Okazała się cudowna i zaskakująca, płochliwa jak dziewczica, zmysłowa i śmiała jak sama bogini Afrodyta. Namiętność jej pocałunków była absolutnie, bezlitośnie szczerą, a kiedy rozkosz zawładnęła jej ciałem, nie zdołała ukryć wyrazu całkowitego zaskoczenia. Czyżby przeżyła z nim pierwszy orgazm w życiu? Nieprawdopodobne. Podparł brodę na ramieniu i popatrzył na nią, nagą, leżącą w zmiętej pościeli. Jej ciało było piękniejsze i bardziej zmysłowe niż w jego najbardziej szalonych snach. Niewiarygodnie smukłe i filigranowe, zaokrągliło się hojnie dokładnie tam, gdzie powinno. Samo spojrzenie na nią wystarczyło, by poczuł dreszcz pobudzenia, potężny jak dźgnięcie ostrogi. Był prawdziwym szczęściarzem, że mógł oglądać ją nagą. Przez długą chwilę sycił oczy widokiem jej delikatnych stóp o paznokciach pomalowanych na kolor poziomek, wąskich kostek i zgrabnych, długich nóg. Łydki miała ładnie umięśnione, a uda idealnie smukłe. Ciemny trójkąt pomiędzy jej nogami przyciągał wzrok, automatycznie podnosząc ciśnienie. Jej talia była wąziutka, a piersi, w obramowaniu kształtnych ramion, kipiały hojnymi, jasnymi krągłościami.

Mógłby się jej przyglądać całą wieczność i nadal nie pojąłby fenomenu, jakim była.

Uśmiechając się beztrosko, sięgnął do łańcuszka migoczącego na jej szyi. Nosila oprawioną w białe złoto perłę w kształcie łzy, która spoczywała teraz między wzniesieniami piersi. Nie zauważył wcześniej tej ozdoby; musiała ukrywać ją pod ubraniem. Zważył w dłoni chłodny ciężar klejnotu. Perła była wielka, kremowa, z niezwykle subtelnym różowym połyskiem. Angelique nie drgnęła nawet, nie uniosła swoich gładkich, alabastrowych powiek zwieńczonych gęstymi wachlarzami rzęs. Zastanawiając się przelotnie, czy już nadszedł moment, żeby przejść do drugiej rundy łóżkowych zmagani, zdjął z jej szyi łańcuszek.

Natychmiast otworzyła oczy.

– Oddaj mi to.

Uśmiechnął się przekornie.

– Gdzie twoje maniery, kochanie? Jest pewne magiczne słowo, którego używa się, gdy...

– Przestań. – Usiadła wyprostowana, spojrzała na niego dziko spod ciemnej grzywki. – Chcę z powrotem mój wisiołek. Natychmiast.

– Nic z tego. – Zamknął klejnot w dłoni. – Chyba, że poprosisz.

– Proszę – powiedziała zeszywniałymi wargami. Wyciągnęła rękę, ale on cofnął dłoń.

– Postaraj się bardziej – zażądał, mrużąc oczy. – Bądź grzeczną dziewczynką. Założę się, że potrafisz poprosić naprawdę ładnie. A jeśli nie potrafisz, podejmuję się udzielić ci kilku lekcji...

Angelique poczuła, że się dusi. W zachowaniu Remy'ego nie potrafiła dostrzec niczego zabawnego. Nie docierało do niej, że on prostu się droczy, chcąc stworzyć erotyczne napięcie. Była świadoma tylko jednego – na jej piersi zaciskała się lodowata pętla strachu.

Remy chciał ją kontrolować. Chciał, żeby się przed nim płaszczyła.

Niedoczekanie.

Nie będzie błagać. Nikogo, nigdy i o nic.

Nie podda się woli mężczyzny, który uważał się za pana i władcę tylko dlatego, że posiadał jej ciało. Nie pozwoli się zredukować do roli wiecznie przelęknionej niewolnicy, błagającej męża o choćby jedno dobre słowo albo moment czułości.

Nie podzieli losu własnej matki.

Henry poślubił Catherine, posiadał ją, a potem złamał jej ducha. Remy właśnie próbował zrobić dokładnie to samo z Angelique.

Nie mogła oddychać. Panika podeszła jej do gardła bolesną, piekącą falą. Oczy zaszyły mgłą i chociaż z całej siły zacisnęła zęby, nie zdołała powstrzymać łez. W następnej chwili wezbrały i popłynęły po policzkach nieprzerwanym strumieniem. Zaszlochała rozpaczliwie, nagle bezradna wobec obrazów, które ożyły w jej pamięci. Jej delikatna, kochana mama... blada, z pochyloną głową, milcząca wobec wybuchów gniewu ojca, bez szemrania spełniająca komendy, które wyrzaskiwał. Mama ukrywająca się za zamkniętymi drzwiami sypialni, w strasznej ciszy przerywanej łkaniem. I wreszcie obraz, który zawsze czaił się na pograniczu jej świadomości, budząc lodowatą, śmiertelną grozę: mama leżąca na podłodze w łazience, sina, nieruchoma... martwa. Od tamtej chwili minęło już kilkanaście lat, ale Angelique znakomicie pamiętała uczucie narastającej paniki, kiedy, nie rozumiejąc jeszcze, co się stało, usiłowała obudzić Catherine. Ale mama była zbyt zimna, zbyt sztywna. Nieobecna. Pamiętała też swój krzyk, rozdzierający, opętańczy. Krzyczała tak długo, aż przyszła litościwa ciemność i wchłonęła ją w siebie, tłumiąc przerażenie i rozpacz. Pamiętała jeszcze, że kiedy się ocknęła, ciało matki już zabrano. Ojciec, porzucając na chwilę pozę zboląłego żalobnika, wziął ją na stronę.

– Twoja matka zawsze miała nierówno pod sufitem – oświadczył z zimną pogardą – aż wreszcie szajba odbiła jej na dobre. Boję się, bardzo się boję, że ty jesteś tak samo świrnięta. Pilnuj się, moja panno, bo każę cię zamknąć w wariatkowie. Wtedy przynajmniej będę pewien, że nie narobisz mi takiego kłopotu jak ta kretynka.

Więc Angelique się pilnowała. Nie pozwoliła sobie na to, żeby oplakiwać matkę. Od tamtego

straszego dnia nie płakała chyba ani razu. Zamknęła się w sobie, przyczaiła. I przy pierwszej nadarzającej się okazji wyprowadziła się z domu i uciekła od ojca na tyle daleko, żeby nie mógł jej skrzywdzić. On rezydował w Londynie, więc ona kupiła sobie mieszkanie w Paryżu... Teraz też musiała uciekać. Jak automat podniosła się z pościeli i zgarnęła porzucone na podłodze ubrania.

– Angelique? Co się stało? – W głosie Remy’ego nie było już rozbawienia, tylko autentyczny niepokój.

Nie odpowiedziała, nie obejrzała się nawet. Chwyciła torbę podróżną i zamknęła się w łazience. Wciąż szlochając, niemal oślepią łzami, zaczęła wkładać świeże ubranie. Bielizna, spodnie, wysokie buty, ciemny kaszmirowy golf. Jeszcze tylko uczesze włosy, uspokoi się głębokim oddechem, umyje twarz lodowatą wodą... czego nie ukryje gruba warstwa pudru, zasłonią ciemne okulary.

Wystarczyło jej pięć minut, żeby z zapłakanej kupki nieszczęścia przeistoczyć się w chłodną, opanowaną damę. Uniosła głowę i pewnym krokiem wyszła z łazienki. Była gotowa na wszystko, byle tylko wyrwać się spod kontroli mężczyzny, który uważał, że ma prawo upokarzać ją i tresować, bo według urzędu stanu cywilnego byli mężem i żoną.

– Angelique? – Remy właśnie wkładał lekko sfatygowane spodnie od garnituru. – Co ty wyprawiasz? Co się stało?

– Ależ nic się nie stało. – Użyła całego swojego talentu, żeby nastroić głos na lekki ton. – Dopadła mnie kobieca niedyspozycja, to wszystko. Czasami mam takie gwałtowne silne bóle – łgała jak z nut.

– Źle się poczułaś? – Zmarszczył brwi. – Powinnaś się położyć, wezwiemy obsługę, przyniosą ci jakiś środek i coś ciepłego do picia.

– Nie, nie. – Zrobiła krok ku drzwiom, jeden, potem następny. Torby oczywiście nie zabrała, ale w kieszeni spodni upchnęła dokumenty, karty i gotówkę. Była gotowa do ucieczki. Jeśli tylko uda jej się opuścić hotel, w pięć minut znajdzie się bardzo, ale to bardzo daleko stąd. O tym, co zrobić ze swoim niepożądanym stanem cywilnym, pomyśli nazajutrz. Póki co musiała zniknąć, żeby chronić siebie. Swoją wolność. I swoje serce. – Zejdę na moment do lobby. Widziałam tam małą drogerię, mają chyba też najpotrzebniejsze leki. Sama coś dla siebie wybiorę, tak będzie najlepiej.

Serce tłukło jej się w gardle, kiedy naciskała klamkę. Remy nie zatrzymał jej. Zamykając drzwi, rzuciła mu jeszcze przez ramię słodziutki, przepraszający uśmiech. A potem ruszyła biegiem.

Przez nikogo nie niepokojona zjechała na parter. Przeszła przez lobby i nikt za nią nie zawołał. Gdy znalazła się na ulicy, odetchnęła z ulgą. Chciała podnieść rękę, zamachać na przejeżdżającą taksówkę. Nie zdążyła.

Czyjeś palce zacisnęły się na jej łokciu, mocno, aż do bólu. Poczowała gwałtowne szarpnięcie, które zmusiło ją do półobrotu, i stanęła twarzą w twarz z Henrym Marchandem. Twarz ojca była karminowa, jak gdyby za chwilę miał dostać apopleksji, a zaciśnięte usta drżały od ledwo

hamowanej furii.

– A więc tutaj się ukrywasz, ty mała, śmierdząca zarazo.

– Dzień dobry, tato. – Coś w niej skurczyło się z przerażenia i wstrętu, ale hardo uniosła podbródek. – Mnie też miło cię widzieć.

– Powiedz mi, że to tylko idiotyczny żart w twoim stylu – zażądał ojciec, ignorując jej odzywkę. – Powiedz, że nie wzięłaś ślubu z tym draniem, młodym Caffarellim.

To było na pewno niskie z jej strony, ale autentyczna zgroza, którą usłyszała w głosie ojca, sprawiła jej całkiem sporą satysfakcję. Oto znowu udało jej się zrobić coś, co zszokowało Henry'ego. Znowu udowodniła mu, że nie ma nad nią władzy.

– Och, widzę, że wieści szybko się rozchodzą w tym mieście. Owszem, wzięliśmy cichy ślub. Jak to się stało, że znasz już tę szczęśliwą nowinę?

– Szczęśliwą nowinę?! – Nadal zaciskając palce na jej łokciu, chwycił ją drugą ręką za ramię i potrząsnął mocno. – Czy w twoim pustym łbie zaświtała myśl, na co mnie naraziłaś? Grałem właśnie w golfa, kiedy koledzy z klubu zaczęli pokazywać sobie jakieś fotki. „Szczęśliwa nowina” była już na Twitterze, tylko że ja o niczym nie wiedziałem. Pokazali mi fotkę, na której jesteś ubrana w jakiś idiotyczny muzułmański strój. No i zaczęły się kpiny...

– Cóż, wesołych masz kolegów – skomentowała z drwiącym uśmiechem, po czym zebrała się w sobie i szarpnęła do tyłu. Bezskutecznie.

– Dokąd się wybierasz, kretynko? – wysyczał wściekle Henry.

– Nic ci do tego, dokąd się wybieram. Puść mnie, słyszysz? – powiedziała hardo, ale nie udało jej się opanować drżenia głosu.

– Nie. – Mocniej wpił palce w jej ramiona. – Pójdiesz ze mną, słyszysz, durna krowo?! Mam umówionego adwokata, który załatwi unieważnienie małżeństwa. Albo, za odpowiednią opłatą, wystawi dokument potwierdzający twoje ubezwłasnowolnienie, antydatowany tak, że ślub automatycznie straci ważność. Już ja cię nauczę rozumu. Jesteś chyba jeszcze głupsza niż twoja świrnięta mamusia.

Angelique przymknęła oczy.

– Nie rozstanę się z Remym. Kocham go – powiedziała, a potem uśmiechnęła się. Te słowa brzmiały tak przyjemnie. Aż szkoda, że nie były prawdą...

Ojciec prychnął pogardliwie.

– Kochasz! Kochasz! – przedrzeźniał ją, wciąż potrząsając. – Nigdy nie słyszałem niczego tak żalosnego.

– Panie Marchand, jeśli natychmiast nie opuści pan rąk wzdłuż ciała, obawiam się, że czeka pana wizyta na ostrym dyżurze chirurgicznym. Bóg mi świadkiem, że nie pochwalam przemocy i byłoby mi

naprawdę bardzo przykro, gdybym musiał je panu połamać.

Słowa te, wypowiedziane cichym, pozornie swobodnym tonem, zawisły w powietrzu groźne, złowieszcze, jak uniesiony topór wojownika.

Henry niezwłocznie zastosował się do sugestii, w popłochu cofając się o krok. Jego ramiona opadły bezwładnie, a w oczach odmalował się autentyczny przestach. Angelique obróciła się i podążyła wzrokiem za spojrzeniem ojca. I już wiedziała, czego się przestraszył.

Remy Caffarelli stał tuż za nią na szeroko rozstawionych nogach. Dłonie zaciskał w pięści, a w oczach miał bardzo nieprzyjemny wyraz. Uśmiechał się lodowato, obnażając zęby jak drapieżnik przed atakiem.

– Remy, nie trzeba... – odezwała się, ale nie dał jej dokończyć.

– Właśnie o to chodziło. Bardzo ładnie – pochwalił karność Henry’ego. – A teraz przeprosi pan moją żonę za swoje skandaliczne zachowanie wobec niej.

– To – Henry wycelował lekko drżący palec w pierś Angelique – to jest moja córka!

– Wiem – westchnął Remy. – I ubolewam nad tym. Poczynam się tylko myśla, że pańska córka ma dość siły charakteru, żeby poradzić sobie z taką traumą.

– Jako ojciec, mam prawo zwracać się do niej, jak uważam za stosowne. – Henry nie dosłyszał tej uwagi. – Zasłużyła na to, żebym ją skarcił...

– Proszę mi wybaczyć, ale nie jestem w najmniejszym stopniu zainteresowany pana poglądami na temat modelu rodziny – uciał Remy. – Informuję tylko, że pojąłem Angelique za żonę i przysięgłem dbać o jej cześć. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek ją poniewierał i obrażał, nie mówiąc już o miotaniu gróźb noszących znamiona przestępstwa. Sprawa jest bardzo prosta. Albo przeprosi pan moją żonę, albo poczuję się zwolniony z obowiązku okazywania panu uprzejmości. Wybór należy do pana i radzę go przemyśleć. Ma pan na to jeszcze całe trzy sekundy.

Minęły dwie.

– Przepraszam – wydusił Henry przez zaciśnięte zęby, wbijając wzrok w czubki swoich butów, po czym obrócił się na pięcie, i, niemalże biegnąc, zniknął w tłumie.

Remy chwilę patrzył w ślad za nim, a potem objął Angelique. Choć stała zupełnie nieruchomo, poczuł wyraźnie, że jej ramiona dygoczą jak w febrze.

– Czy on zawsze zwraca się do ciebie w równie uroczy sposób? – spytał cicho.

Długo nie mogła wydobyć z siebie słowa. Scena na chodniku wstrząsnęła nią tak bardzo, że znowu walczyła ze łzami. Do ataków furii Henry’ego była przyzwyczajona; nieraz słyszała z jego ust gorsze wyzwiska. Starła się nie zwracać na nie uwagi. Tego dnia jednak wydarzyło się coś, co poruszyło ją do głębi. Nikt dotychczas nie wziął jej w obronę; matka była zbyt łagodna, a służba bała się, że straci posadę. Wobec wybuchów gniewu ojca Angelique zawsze była sama, beznadziejnie sama, targana skrytą, dręczącą myślą, że może faktycznie na nie zasłużyła. Może rzeczywiście była kretynką,

idiotką, głupią krową?

Sama nie wiedziała, jak głęboko tkwiła w niej bolesna drzazga zwątpienia i niskiej samooceny, dopóki Remy w krótkich żołnierskich słowach nie przywołał Henry'ego do porządku. Ten zupełnie nieoczekiwany zwrot akcji sprawił, że coś drgnęło w jej sercu. Zerknęła spod rzęs na mężczyznę, który przed chwilą tak zdecydowanie stanął w obronie jej godności, i zachwyty przeniknął ją dreszczem. Był szlachetny jak rzymski patrycjusz, niezłomny i potężny niczym barbarzyński wojownik. Wspaniały. Nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego go nienawidziła. Jeśli ktoś taki jak on zabiegał o szacunek dla niej, to może faktycznie była tego warta? Ta myśl była tak nowa, tak zaskakująca, że z obawą ukryła ją na dnie serca.

– Niestety, nasza relacja nie należy do najbardziej harmonijnych – powiedziała ostrożnie. – Działam ojcu na nerwy. I vice versa.

– Czy Henry kiedykolwiek zrobił ci krzywdę? – Angelique zobaczyła w oczach Remy'ego morderczy błysk i z najwyższym zdumieniem odkryła, że jest jej w pewnym sensie żal ojca.

– Nigdy nie podniósł na mnie ręki – zapewniła. – Po prostu nie przebiera w słowach, kiedy się rozsierdzi, a nerwy ma raczej słabe.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej, jak on cię traktuje? – wyrzucił z siebie. – Nie zostawiłbym tego tak...

– Jesteś pewien – uśmiechnęła się smutno – że uwierzyłbyś mi, gdybyś nie stał się mimowolnym świadkiem tej sceny?

Nie odpowiedział. Jego milczenie było aż nadto wymowne.

– Musisz mi coś obiecać – powiedział po chwili.

– Co takiego? – Nie próbowała wyswobodzić się z uścisku jego ramienia. Czuła się dobrze i bezpiecznie, kiedy szli razem, a on obejmował jej plecy opiekuńczym gestem.

– Obiecuj mi, że już nigdy nie spotkasz się sam na sam z tym człowiekiem – powiedział twardo. – Nigdy, rozumiesz?

– Dobrze, obiecuję ci to. – Zamrugła, przestraszona, że za chwilę znowu się rozpłacze.

– Dziękuję. – Jego głos złagodniał. – A teraz poproszę cię jeszcze o jedno. Wróć ze mną do hotelu. Usiądziemy spokojnie, zamówimy sobie jakiś dobry obiad, a ty opowiesz mi, dlaczego tak bardzo zdenerwowało cię moje zachowanie, kiedy nie chciałem ci tego oddać.

Sięgnął do kieszeni, wyjął wisior i z pietyzmem złożył go w dłoniach Angelique. Bez słowa zawiesiła łańcuszek na szyi, a perłę ukryła pod ubraniem.

– Ten klejnot należał do mojej matki – wyjaśniła cicho. – A wcześniej do jej matki. Cenię go nie tylko dlatego, że jest rodzinną pamiątką. Dla mnie jest czymś więcej, symbolizuje spuściznę, którą chcę chronić. Widzisz, moja mama była wspaniałą kobietą: dobrą, szlachetną, świetnie wykształconą

i wybitnie inteligentną. Ale była też słaba. Pokochała mężczyznę, który nie był tego wart, a on ją zniszczył. Wszelkimi sposobami starała się mu przypodobać, ale w zamian otrzymała wyłącznie pogardę. Wreszcie nie wytrzymała i odebrała sobie życie. Ja... mam nadzieję, że odziedziczyłam po niej choć cząstkę jej rozlicznych talentów i wielkoduszności. I czuję, że ze względu na pamięć o niej, muszę się okazać silniejsza. Dlatego nie zamierzam być niczyją „dobrą dziewczynką”. Nie będę wdzięczyć się i ładnie prosić. Nigdy i o nic.

– W porządku. – Pokiwał głową. – Wtedy, w łóżku... to miała być tylko zabawa, ale rozumiem, że wyjątkowo nietrafiona. Wiesz, co ci powiem? Myślę, że możesz być z siebie dumna. Jeszcze nigdy nie spotkałem kobiety tak niepokornej, tak niewiarygodnie hardej i niezależnej jak ty.

– Cóż... mogę tylko powiedzieć, że to ty budzisz ciemną stronę mojego charakteru – rzuciła z uśmiechem. Szli właśnie przez hotelowe lobby, ciasno objęci; ot, jeszcze jedna zakochana para w podróży poślubnej. Jakże byłoby pięknie, gdyby życie mogło być takie proste, pomyślała, czując ukłucie żalu.

– Miło mi to słyszeć – wyraźnie się ucieszył. – Posłuchaj, oboje wiemy, że nasze małżeństwo to tymczasowy układ, ale nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy spędzić tego czasu w przyjemny sposób. Co chciałabyś robić w najbliższych dniach?

– Chciałabym pojechać do Tarrantloch – powiedziała bez chwili namysłu. – Najchętniej jeszcze dzisiaj.

– Świetny pomysł. – Remy zatarł ręce. – Będziemy przynajmniej mieć pewność, że unikniemy paparazzich. Zresztą, należy nam się podróż poślubna.

To miała być podróż poślubna? Jeśli tak, to bardzo nietypowa. Oto dwoje ludzi, którzy pobrali się pod przymusem, pojedzie do miejsca, które jedno z nich szczerze kochało, a drugie – przywłaszczyło sobie podstępem. Angelique stłumiła westchnienie. Miała ogromną ochotę zapytać Remy’ego, czy zdecydował się zwrócić jej posiadłość, ale nie powiedziała ani słowa. Wszystko wskazywało na to, że osiągnęli rodzaj kruchej porozumienia. Skoro mieli spędzić ze sobą jeszcze co najmniej dziesięć dni, nie było sensu zrywać rozejmu. Kiedy przyjdzie właściwy czas, przyprze Remy’ego do muru i odbierze to, co się jej należy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Październik zbliżał się już ku końcowi, jesień była w pełni. Można było tego nie zauważyć, gdy spędzało się czas w rozjazdach, zatrzymywało tylko w wielkich miastach i mieszkało w klimatyzowanych wnętrzach. Dharbiri przypominało rozpalony piec hutniczy, a Londyn – cóż, Londyn był taki jak zawsze.

Ale kiedy Angelique i Remy wysiedli z terenowego samochodu na porośniętym gęstą trawą podwórku Tarrantloch, jesień przypuściła zmasowany atak na ich zmysły. W krystalicznym, niemal mroźnym powietrzu unosił się intensywny, rześki zapach opadłych liści, który w połączeniu z ciepłą nutą kominkowego dymu tworzył jedyną w swoim rodzaju kompozycję, tak bardzo charakterystyczną dla tej pory roku. Na ciemnym już niebie błyszczały roje gwiazd, tak wyraziste, jak to się zdarza tylko w pogodne, jesienne wieczory. Gdy szli w kierunku majaczącej w półmroku bryły domostwa, przygnane wiatrem liście szeleściły pod ich stopami.

Tak, niezaprzeczalnie, w Górach Kaledońskich jesień rozgościła się już na dobre.

Nie zdążyli jeszcze dotrzeć do wejściowych drzwi, ukrytych pod kamiennym łukowatym podcieniem, gdy w ciemności rozległo się basowe szczekanie.

Remy drgnął, zaniepokojony.

Angelique roześmiała się głośnym, szczęśliwym śmiechem, uklękła i szeroko rozłożyła ramiona. W następnej chwili opadła ją sfora wielkich psów. Wilgotne nosy szukały jej policzków, wciskały się w dekolt, a ogony merdały z siłą wiatrowych turbin. Powitanie przedłużało się; Remy postawił kołnierz kurtki, wsunął ręce w kieszenie i rozejrzał się dookoła. Miał chwilę czasu na to, żeby zlustrować swoją nową posiadłość.

Zupełnie inaczej wyobrażał sobie Tarrantloch. Oczekiwał, że na lotnisku w Edynburgu będzie na nich czekał szofer z limuzyną, a potem pojedą do luksusowej rezydencji, utrzymanej w bogatym, pałacowym stylu. Spodziewał się, że zobaczy ozdobne latarnie mżące złocistym blaskiem na idealnie przystrzyżone żywopłoty w stylu francuskim, rzędy oświetlonych okien i co najmniej tuzin służących płci obojga, odzianych w sztywne uniformy lub wykrochmalone fartuszki.

Na pewno nie przypuszczał, że rodowe gniazdo Tarrantów okaże się kasztelem o rozmiarach niewielkiej willi, wzniesionym z surowego kamienia i zwieńczonym wieżyczką. Wejście oświetlały dwie staroświeckie żeliwne lampy, ale poza tym budynek tonął w ciemności.

– Czy nikogo oprócz psów tutaj nie ma? – spytał zbity z tropu, kiedy Angelique wreszcie wyprostowała się, uładziła włosy i uspokoiła psy krótką komendą.

– Są państwo Chattan. Opiekują się posiadłością. Mieszkają w domku ogrodnika, za tą kępą drzew.

O tej porze na pewno już śpią. – Angelique wyjęła z kieszeni kurtki duży staroświecki klucz i z wprawą przekręciła go w zamku, a potem pchnęła ciężkie drewniane drzwi z metalowymi okuciami. – Nareszcie w domu – powiedziała wesoło i pewnym krokiem weszła w całkowitą ciemność wnętrza.

Żadnych lokajów w liberii, żadnych pokojówek w fartuszkach. Szofera z limuzyną też zresztą nie było. Kiedy wylądowali w Edynburgu, okazało się, że Angelique na długoterminowym parkingu trzyma terenowy samochód. Musiał pochwalić jej wybór – niewielki jeep nie był efekciarski, ale za to praktyczny i niezawodny. Kiedy zobaczył, że kobieta, którą uważał za rozkapryszoną księżniczkę, w bagażniku przechowuje klasyczną, ocieplaną parkę, skórzane buty trekkingowe, koce i właściwie pełen zestaw survivalowy, zdumiał się tak bardzo, że nie zaprotestował, gdy usiadła za kierownicą, choć odkąd miał prawo jazdy, nigdy nie pozwolił, żeby wiozła go kobieta. Przez całą drogę zastanawiał się nad fenomenem Angelique. Diabelnie krętą, wąską górską drogą jechała szybko i pewnie, wpatrzona w trasę przed sobą ze spokojnym skupieniem. Zamiast dbającej wyłącznie o własny image głupiutkiej celebrytki widział kobietę niezależną, praktyczną i przebojową.

To nie był koniec niespodzianek. Angelique przez chwilę krzątała się w mroku, a gdy wreszcie zapłonęło światło, oczom Remy’ego ukazała się przestronna sień ze stropem z grubych belek otwarta na salon z wielkim kominkiem. W obydwu pomieszczeniach meble były proste, przeważnie drewniane, łączące klasyczną elegancję z motywami góralskiego folkloru. Barwne akcenty zapewniały kolorowe naczynia ustawione w wielkim kredensie i narzuty tkane w etniczne wzory, którymi przykryto kanapy. Przed kominkiem, na kamiennej podłodze, leżały owcze skóry. Nie było tu nawet śladu kapiącego złotem przepychu, w którym gustował Henry Marchand. Remy, poza zdumieniem, poczuł ulgę. Kiczu nie znosił. Natomiast wystrój Tarrantloch miał w sobie coś ożywczo autentycznego, coś, co sprawiało, że człowiek oddychał głębiej i swobodniej, jak gdyby budziła się w nim dawno zapomniana, pierwotna siła.

– Twój ojciec tak urządził ten dom? – spytał z niedowierzaniem.

– Ależ skąd – parsknęła śmiechem, słysząc taką niedorzeczność. – Ojciec nigdy tu nie przyjeżdża. Gardzi tym miejscem. Nazywa Tarrantloch rudera – ciągnęła, zajęta otwieraniem wielkich, drewnianych okiennic.

Co takiego?!

Remy’emu dosłownie opadła szczeka. Wiekowe Tarrantloch nie było oczkiem w głowie Henry’ego? Ten snobistyczny bufon powinien wszak wielbić to miejsce, prastarą szlachecką siedzibę, klejnot wśród swoich włości! Tylko że... Tarrantloch było inne, niż się spodziewał. Surowe. Pełne autentycznego, prostego piękna. Sam był zaskoczony, ale i zachwycony tym odkryciem. A Henry Marchand... prawdopodobnie nie był w stanie dostrzec tu niczego atrakcyjnego. Czyżby więc, odbierając mu tę posiadłość, trafił kulą w płot? Kogo tak naprawdę ukarał, przejmując

Tarrantloch? Wyglądało na to, że nie ojca, lecz jego córkę, która – co stanowiło kolejną niespodziankę – była autentycznie zakochana w tym dzikim zakątku. Myśl, że Angelique miała uciepieć wskutek porachunków pomiędzy nim a Henrym Marchandem, podobała mu się coraz mniej.

Niech to wszyscy diabli!

Póki co, szczęśliwie, Angelique nie wydawała się specjalnie zgnębiona. Krzątała się po domu, bezwiednie podśpiewując pod nosem jakąś skoczną melodię. Remy przyglądał się, zaintrygowany, jak włącza hydrofor i bojler, sprawdza, czy działa dodatkowy agregat prądowórczy, a potem bierze się za rozpalanie ognia w kominku.

– Często tu przyjeżdżasz? – spytał, klękając obok niej, z fascynacją wpatrzony w jej drobne dłonie, gdy układała w palenisku kominka chrust, drewniane szczapy i wreszcie grube polana.

– Zawsze, kiedy mam dłuższą przerwę między zdjęciami – zapaliła zapałkę, wetknęła ją w ułożony stos opału i patrzyła w skupieniu, jak język ognia nieśmiało dotyka kawałków suchego drewna. – Niestety, to się zdarza o wiele rzadziej, niżbym chciała. Tutaj... każda pora roku jest piękna.

– Widzę, że świetnie dajesz sobie radę.

– A co w tym jest trudnego? – zdumiała się.

– Po prostu... nigdy nie zrobiłaś na mnie wrażenia osoby, która spełnia się jako gospodyni domowa.

– Ha! Pozory, widzisz, mogą mylić. Kiedyś przetrwałam tutaj miesiąc! Spadło tyle śniegu, że droga przez przełęcz była nieprzejezdna.

– Nie mów, że potrafisz też gotować.

– A żebyś wiedział, że potrafię. Uśmiejesz się, ale to moje hobby. Nawet skończyłam taki snobistyczny kurs gotowania, jeden w Paryżu, a drugi w Tajlandii.

– Jeżeli jeszcze się okaże, że potrafisz grać na dudach, to padnę.

– Nie, na dudach nie gram, ale ceilidh tańczę nie gorzej niż mieszkańcy tutejszych wiosek.

– Prawdziwa z ciebie dziewczyna z gór. Wesoła, gospodarna...

– Kpij sobie, kpij. – Z uśmiechem satysfakcji patrzyła, jak płomień mnoży się, rosą coraz śmielsze, coraz bardziej zaborcze. – Z ciebie za to jest prawdziwy jaśnie pan. Kiedy wychodzisz z łazienki, regularnie zostawiasz tam potop i jesteś chyba fizycznie niezdolny do opuszczenia deski sedesowej.

– Zrędzisz jak prawdziwa żona – zaśmiał się serdecznie. – Krytykę przyjąłem. Kto wie, może jeszcze nie jest za późno na resocjalizację?

Angelique pochyliła się nad paleniskiem i dmuchnęła, choć ogień już porządnie się palił. Nie chciała, żeby Remy widział, że w jej oczach znowu wzbierają głupie łzy. Jakiś żal ścisnął jej serce, mocno, boleśnie. Jak by to było, gdyby wzięli ślub ze szczerymi intencjami? Gdyby była „prawdziwą

żoną”? Jeszcze trzy dni temu perspektywa małżeństwa z kimkolwiek przerażała ją, a na samą myśl o Remy miała ochotę warczeć. Teraz czuła jakąś niewypowiedzianą tęsknotę. Z zaskoczeniem odkrywała, że gdyby ten mężczyzna, milczący, poważny, w zamyśleniu patrzący w ogień, chciał kochać ją aż do śmierci... byłaby szczęśliwa. I spełniona.

Ale Remy nie zamierzał spędzić z nią życia, wypożyczył ją tylko na parę tygodni, jak maskotkę mającą przynieść mu szczęście w interesach. Nie miała pojęcia, jak długo jeszcze będzie się nią bawił, zanim straci zainteresowanie. Nie wiedziała nawet, czy nie odbierze jej na zawsze tego domu, jedyne miejsce na świecie, gdzie czuła się naprawdę u siebie.

Ogień buchnął mocniej, spotężniał, z głuchym rykiem rzucił się na żer. Musnął twarz Angelique gorącym oddechem i na dobre odegnał łązy. Nie zamierzała roztkliwiać się nad sobą. Czując, że w jej sercu buzuje płomień równie gorący, jak ten w kominku, wyprostowała się powoli. Remy miał akt własności Tarrantloch? Cóż, papier to naprawdę nie wszystko. Ona wyrosła z tej ziemi, była związana z nią, niczym korzeniami, linią genów matki. W jej żyłach tętniła ponadczasowa, niezłomna moc gór. Tego nikt nigdy nie zdoła jej odebrać. Nikt też nie odbierze jej możliwości podejmowania inicjatywy. Zanim ona i Remy się rozstaną, zanim każde z nich pójdzie w swoją stronę, mogła przecież podelektować się jego bliskością. Tak jak zrobiłaby to „prawdziwa żona”. Gdy zostanie sama, będzie miała przynajmniej wspomnienia.

Im gorętsze, tym lepiej.

– Włączyłam ogrzewanie, ale zanim dom się nagrzej, minie co najmniej doba. – Zrzuciła kurtkę, sięgnęła do guzików swetra, rozpięła jeden, potem następny. I kolejny. Z satysfakcją odnotowała, że Remy wpatruje się w jej palce. – Proponuję, żebyśmy spędzili tę noc tutaj, przy kominku. Nie uwierzysz, jak wygodne są te skóry...

Miał refleks – to musiała mu przyznać. W następnej chwili była już w jego ramionach. Poczwała pod plecami miękkiego dotyku owczego runa. Zakręciło jej się w głowie, kiedy przykrył ją sobą i odnalazł ustami jej usta.

Całkiem nieźle jak na lipne małżeństwo, pomyślała i uśmiechnęła się, nie przerywając pocałunku.

– Masz na sobie strasznie dużo ubrań – wydyszał Remy, walcząc z zapięciem jej swetra.

– Nie tak prędko, mój drogi. – Oparła dłonie na jego piersi i pchnęła mocno, a potem zręcznie wyśliznęła się z jego objęć. – Zaczekaj...

Zaintrygowany, patrzył za nią, kiedy podchodziła do kredensu. Wróciła po chwili, niosąc butelkę szkockiej i dwie szklaneczki. Gdy posmakował pierwszy łyk złotego trunku, który zdawał się tętnić ukrytym ogniem, w duchu przyznał, że miała świetny pomysł. Nie mógłby sobie wyobrazić przyjemniejszego zakończenia dnia niż przy kominku, w towarzystwie naprawdę przedniej whisky i kobiety, która nie przestawała go zaskakiwać. Właśnie podeszła do ognia, stanęła na tle płomieni, smukła i seksowna. Potrząsnęła włosami, w których tańczyły płomienne refleksy, i uśmiechnęła się

tajemniczo, uwodzicielsko.

– Chyba rzeczywiście mam na sobie za dużo ubrań.

Kiedy zaczęła się rozbierać, podskoczyło mu ciśnienie. Powolnymi ruchami rozpięła sweter, zsunęła go z ramion, odchylając głowę w tył, żeby mógł do woli przyjrzeć się jasnej skórze jej dekoltu i piersiom, przesłoniętym czarną koronką stanika. Uniosła ręce i sugestywnie, pieszczotliwie przesunęła palcami po swojej nagiej skórze, obrysowując krągłości biustu, płaski brzuch... a potem sięgnęła do zapięcia dżinsów. Remy wstrzymał oddech. Jego własne spodnie robiły się coraz ciaśniejsze. Patrzył, a krew huczała mu w uszach, jak Angelique kołysze się, uwalniając z ubrania. Pozbyła się spodni i butów, nie przestając kołysać się płynnie, eksponując gibką talię i zmysłowe kobiece biodra. Kiedy była już w samej bieliźnie, ruszyła ku niemu. Jej bose stopy zapadały się w miękkie futro.

Boże, ależ ona potrafiła się ruszać. Każdy krok był jak misterium, jak dumna afirmacja kobiecości. Nic dziwnego, że była tak wziętą modelką. Teraz jednak nie rozbierała się, bo tego wymagał kontrakt, nie przybierała zmysłowych póz pod dyktando fotografa. Robiła to dla niego, tylko i wyłącznie dla niego. Pomyślał z dreszczem, że jest chyba najszczęśliwszym facetem pod słońcem. A potem przestał myśleć, bo Angelique stanęła tuż przed nim, obróciła się w zwinnym piruecie, ukazując mu smukłe plecy i pośladki, których zmysłowe kształty były jak ucieleśnienie marzeń mężczyzny.

– Czy mógłbyś mi pomóc? Tam z tyłu jest takie zapięcie...

Ramieniem odgarnęła włosy, odsłaniając delikatny kark i wąski czarny pasek koronki przecinający plecy. Remy nie zwlekał ani chwili ze spełnieniem tej prośby. Rozpiął biustonosz i otoczył smukłe ciało Angelique ramionami. W następnej chwili obejmował dłońmi jej piersi, całował kark, smakował słodką świeżość jej skóry. Wsparła się o niego, poczuła, jak napinają się mięśnie tego wspaniałego męskiego ciała. Z głośnym jękiem odchyliła głowę w tył, a on zaczął pieścić wargami jej szyję. Angelique spojrzała w ogień i uśmiechnęła się. Cokolwiek miała przynieść przyszłość, w tej chwili czuła się jak królowa świata. Wspomnienie tej nocy na zawsze pozostanie jej własnością.

Telefon zdawał się dzwonić w nieskończoność. Jego dźwięk, nieznośnie przenikliwy, zdołał wreszcie wyrwać Remy'ego z odmętów snu. Mamrocząc przekleństwa, otworzył oczy i... zaniemówił. Wysoko nad sobą widział drewniany strop wsparty na belkach imponującej grubości. Promienie porannego słońca oświetlały kamienne ściany i wielki kominek, w którym dogasał żar. Przez chwilę zmagął się z dręczącym pytaniem, gdzie, do jasnej cholery, się znajduje. Wciąż półprzytomny, wygramolił się spod puchowej kołdry i zobaczył czarne koronki poniewierające się na przykrytej futrami podłodze.

Taaak, już wiedział, gdzie jest. Trafił do raju. Miejsce to co prawda nazywało się Tarrantloch, a nie Eden, ale po minionej nocy nie miał najmniejszych wątpliwości, że tak musi wyglądać kraina szczęśliwości. Uśmiechnął się do niedawnych wspomnień. Angelique... jej ciało, jasnozłote w blasku ognia. Oczy, szeroko otwarte, błyszczące w półmroku, szukające jego spojrzenia. Jej cudowne usta rozchylone w uśmiechu, a potem otwarte w tryumfalnym okrzyku, kiedy, wyprostowana nad nim, dotarła na sam szczyt spełnienia. Tej nocy była słodka i dzika, nieujarzmiona i ufna, władcza i pełna czułości. Stanowiła najbardziej intrygującą zagadkę, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia.

Nie miał pojęcia, na przykład, gdzie teraz zniknęła.

Ciekawa rzecz – nie przypominał sobie, by kiedykolwiek przeszkadzał mu fakt, że jego kochanka wymknęła się z łóżka nad ranem. Przeciwnie, uważał to za przejaw dyskrecji i klasy. Dlaczego więc tak bardzo brakowało mu obecności Angelique? Była jak kotka chadzająca własnymi drogami. A on chciał zatrzymać ją w swoim łóżku. Chciał zatrzymać ją w swoim życiu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Telefon umilkł dokładnie w chwili, gdy wygrzebał go z kieszeni marynarki. Nie minęła sekunda, a rozdzwonił się znowu. Remy westchnął z rezygnacją. Znał tylko jednego człowieka, który z uporem maniaka naciskał ponowne wybieranie numeru natychmiast po tym, jak się rozłączył, rezygnując ze słuchania wolnego sygnału.

– Dzień dobry, dziadku – rzucił, podnosząc słuchawkę do ucha. Wiedział, co usłyszy.

– Remy? Słyszysz mnie? Mam dzisiejszą gazetę...

– To wspaniale. Gratuluję.

– Cicho, smarkaczu – zgromił go Vittorio. – Nie przerywaj mi! Na pierwszej stronie jest napisane, że ożeniłeś się z tą piekielnicą, córką Marchanda! Nie uwierzyłbym, gdyby obok nie było zdjęcia, na którym bardzo wyraźnie widać was oboje przed jakimś hotelem w Londynie. Przypuszczam, że to ma być żart, ale przyznam ci się, że za cholerę nie rozumiem puenty.

– Czy Angelique ładnie wyszła na zdjęciu? – chciał wiedzieć Remy. – Mam nadzieję, że tak, bo w przeciwnym razie wpadnie w paskudny humor.

– Ha, ha, ha! – Starszy pan zaśmiał się, a potem rozkaszał. – Bardzo śmieszne. Liczę na to, że w następnym numerze pojawi się sprostowanie. Gazeta musi napisać prawdę, a jeśli nie, to wytoczmy im proces.

– Ależ gazeta napisała prawdę. Jesteśmy z Angelique po ślubie.

Vittorio aż sapnął.

– Możesz nam życzyć szczęścia – podsunął Remy.

W słuchawce zapadła cisza.

– Zawsze miałeś słabość do tego dziewczuszyska – burknął starszy pan po chwili.

– Cóż, wiesz przecież, jak ona wygląda. Jestem tylko człowiekiem.

– Faktycznie, brzydka to ona nie jest – zgodził się wspaniałomyślnie Vittorio. – Ale, do diabła! Rozumiem, że chciałeś, hm, napić się piwka, tylko po co zaraz kupować cały browar?!

– Może pozazdrościłem braciom, którzy mają już swoje... browary?

– Bzdura – uciął starszy pan. – Twój bracia to w sumie domatorzy. Było jasne, że prędzej czy później dadzą się zaobrączkować. Ale ty! Myślałem, że jesteś sprytniejszy. Co się z tobą stało?!

– Jak by ci to powiedzieć, dziadku... po prostu się zakochałem.

– Zakochałeś się?! – zapał Vittorio. – W tej harpii? Doprawdy...

– Nie mów tak o mojej żonie – głos Remy'ego stwardniał – bo się pogniwamy.

– Jeszcze przyznasz mi rację. Zobaczysz, twoja żoneczka zrobi z ciebie rogalca albo zamieni twoje

życie w piekło. Mam nadzieję, że dopilnowałeś przynajmniej podpisania intercyzy.

– To naprawdę nie twoja sprawa...

– A więc nie dopilnowałeś! Pięknie! Zupełnie jak te osły, Raoul i Rafe.

Remy miał dość.

– Dziadku, oddzwonię do ciebie, kiedy wrócimy z podróży poślubnej.

– Kiedy wrócicie z podróży poślubnej, nie będziesz dzwonił, tylko tu przyjedziesz – zażądał Vittorio. – Z żoną, o ile do tej pory jeszcze ci nie zwieje. Twoi bracia chcą wam pogratulować. A Poppy i Lily nie mogą się doczekać spotkania z nową bratową. Te baby! Kiedy się dowiedziały, że Angelique jest modelką, skaczą pod sufit z ekscytacji. Już planują wspólne wypadki do sklepów z ciuchami i inne takie rozrywki. Cała czwórka zjechała tu wczoraj, wszyscy już widzieli gazetę...

– Dobrze. Przyjedziemy – obiecał Remy i szybko zakończył rozmowę. Musiał odnaleźć Angelique. Choć wiedział, że to głupie, nagle zaczął się bać, że ucieknie mu, tak jak wieszczyl to dziadek.

Dom był cichy i pusty; na jego wołania odpowiadało tu jedynie echo. Kiedy wyszedł przed frontowe drzwi, blask słońca niemal go oślepił. W nocy temperatura musiała spaść nieco poniżej zera, bo tam, gdzie kamienne ściany zameczku rzucały cień na trawę, każde źdźbło ozdobione było srebrzystym ornamentem szronu. Teraz jednak słońce nasyciło powietrze łagodnym jesiennym ciepłem. W tej okolicy, zazwyczaj deszczowej, musiał to być jeden z piękniejszych dni w roku. Remy odetchnął pełną piersią; musiał przyznać, że widok gór, których szczyty zdawały się być blisko, niemal na wyciągnięcie ręki, krzepił nie gorzej niż filiżanka porannej latte. Rozglądając się w poszukiwaniu Angelique, ruszył przed siebie. Ścieżka, wyłożona płaskimi kamiennymi płytami, opadała w dół, ku skrytej pomiędzy skałami kotlinie. Jeszcze kilka kroków i oczom Remy'ego ukazała się tafla jeziora, którą odbicie pogodnego nieba barwiło odcieniem głębokiego szafiru.

Kiedy dostrzegł ruch wśród nadbrzeżnych skał, wyteżył wzrok, przekonany, że będzie miał okazję zobaczyć zwierzę, które przyszło do wodopoju. Ale... to nie było zwierzę. Zamarł w pół kroku, oniemiały ze zdumienia. Na kamienistym brzegu, tuż nad wodą, stała Angelique. Była zupełnie naga; ciepłe ubrania, porządnie poskładane, leżały na pobliskim kamieniu. Patrzył, nie wierząc własnym oczom, jak dziewczyna unosi ramiona ku słońcu. Stała przez chwilę nieruchomo, wyprostowana jak struna, jasna na tle szmaragdowej toni, a potem, nic sobie nie robiąc ani z porannego chłodu, ani z faktu, że woda w górskim stawie o tej porze roku musiała być lodowata, skoczyła. Remy westchnął bezgłośnie, gdy jej drobne ciało zniknęło w świetlistym rozbryzgu, a potem, niewiele myśląc, rzucił się biegiem ku jezioru.

Ona jednak najwyraźniej nie miała w planach rozstania się z życiem, bo wynurzyła się na powierzchnię, parszcząc rażno, i popłynęła przed siebie, tnąc tafel wody mocnymi, pewnymi ruchami ramion. Kiedy dobiegł na brzeg, wracała już. Wyszła na płyciznę, promieniejąca z zadowolenia, i obróciła twarz ku słońcu. Krople lodowatej wody spływały po jej ciele, lśniące jak diamenty.

– Angelique! – wyrwało się Remy’emu. – Co ty...?

– Witaj, Remy. – Spokojnie sięgnęła po ręcznik. W ogóle nie wyglądała na zmarzniętą.

– Co ty robisz? – wyrzucił z siebie, wciąż nie mogąc się otrząsnąć z szoku.

– Zawsze tu pływam – wyjaśniła spokojnie i zaczęła się ubierać. Po chwili stała już przed nim w wysokich butach, dzinsach i kurtce z futrzanym kapturem. – To znaczy, zimą nie mogę, bo jezioro zamarza. Uwielbiam to. – Z szerokim uśmiechem spojrzała na wodę. – A swoją drogą, nie ma jak zimne kąpiele, kiedy chce się mieć jędrną skórę.

Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Kiedy ruszyła w stronę kamiennego kasztelu, który nazywała domem, szedł obok niej w milczeniu. I nagle pewna myśl uderzyła go jak obuchem. Angelique kochała to miejsce, nie mógł się o tym bardziej dobitnie przekonać. Prawdopodobnie zrobiłaby wszystko, żeby go nie stracić. Może nawet... po mistrzowsku odegrałaby rolę namiętnej hurysy? Teraz rozumiał, dlaczego ostatniej nocy była taka śmiała, taka hojna. Przygotowała dla niego prawdziwą ucztę zmysłów, ale jednego nie odsłoniła – swojej duszy. Swojej prawdziwej twarzy. Grała i, musiał to przyznać, robiła to po mistrzowsku. Grała, bo wierzyła, że w ten sposób może odzyskać Tarrantloch. Sam jej przecież powiedział, że zwróci posiadłość, pod warunkiem, że uzna ich pożycie małżeńskie za odpowiednio satysfakcjonujące. Najwyraźniej potraktowała jego słowa poważnie. Była gotowa zapewnić mu naprawdę mocne wrażenia, jeśli za tę cenę mogła się znowu stać panią na Tarrantloch. Ale on nie chciał od niej takiego haraczu. Gra pozorów, nawet najbardziej wirtuozowska, nie interesowała go. Nie z Angelique. Pragnął jej szczerości, a jeśli nie mógł jej dostać, nie chciał w ogóle niczego.

Nagle jego własne motywacje zbladły, straciły na znaczeniu. Czym był spór z Henrym Marchandem, czym jego plan zemsty i wygrana przy karcianym stole? Wszystko to były głupstwa, nic nieznaczące wobec ponadczasowego, majestatycznego piękna Tarrantloch. On był tu intruzem. Uzurpatorem. Przywłaszczając sobie tę ziemię, popełnił błąd. Na szczęście mógł go jeszcze naprawić.

Angelique szła lekkim krokiem osoby całkowicie zadowolonej z życia.

– Jestem głodna jak wilk – oznajmiła rażno. – Kuchnia, póki co, świeci pustkami, ale państwo Chattan wybierają się właśnie na targ do miasteczka. Zrobię listę zakupów, a potem wyczaruję dla nas prawdziwą ucztę, co ty na to?

Nie przejęła się jego upartym milczeniem. Po kilku krokach zaczęła gadać znowu, wesolutka jak szczygiełek.

– Wiem, że powinnam pilnować diety, ale raz można złamać zasady, nie sądzisz? Poza tym jestem pewna, że ostatniej nocy spaliłam jakąś rekordową ilość kalorii! Kto wie, może dopóki trwa nasz miodowy miesiąc, będę mogła pozwolić sobie na kulinarne ekstrawagancje?

Nie odpowiedział. Zaciął usta w gorzkim grymasie, dłonie wbił w kieszenie. Był wściekły. Angelique obdarzyła go rozkoszami łoża, teraz obiecywała rozkosze stołu. Jeszcze dwa dni temu myślał z dreszczykiem satysfakcji o tym, że poskromi tę piękną złośnicę. Dziś, kiedy robiła wszystko, żeby mu się przypodobać, czuł się jak zimny drań. I nie było mu z tym dobrze.

– Skoro państwo Chattan jadą do miasteczka, zabiorę się z nimi, a potem załatwię sobie jakiś transport do Edynburga – oświadczył bez wstępów. – Nie ma sensu, żebyśmy dłużej ciągnęli tę farsę. Tarrantloch jest twoje. Zaraz zadzwonię do prawnika i każę mu wystawić odpowiedni dokument. Będiesz jedyną właścicielką posiadłości, twój ojciec nie będzie miał już nic do gadania.

– Jak to? – Zatrzymała się gwałtownie i spuściła głowę, kryjąc twarz pod kapturem parki. – Mówiłeś przecież, że interesy wymagają, by nasze małżeństwo potrwało kilka miesięcy.

– Zmieniłem zdanie – uciał. – Wystarczy, jeśli żadne z nas nie rozgłosi, że rozstaliśmy się definitywnie, i póki co wstrzymamy się z rozwodem. Ale jeszcze dzisiaj zamierzam oddać ci Tarrantloch i uwolnić cię od mojej obecności... o ile tego właśnie naprawdę chcesz.

Zostawił sobie tę małą furtkę. Maleńką, leciutko uchyloną. I ruszył, żeby wrócić do swojego życia, choć czuł, że bez Angelique będzie ono szare i ponure, jak wał chmur, który wypiętrzał się nad górami, gnany nagłym, porywistym wiatrem. Nie zatrzymał się ani nie obejrzał. Miał zbyt wiele dumy, by znieść upokorzenie, jakim byłby wyraz ulgi malujący się na jej twarzy.

Angelique stała bez ruchu, oślepiona łzami. Powinna tryumfować. Tarrantloch należało do niej, była znów wolna i swobodna. Dlaczego więc czuła się tak, jakby ktoś wyrwał jej serce? Jakby straciła wszystko, a w jej życiu nie miało się już wydarzyć nic dobrego? To było głupie, beznadziejnie głupie. I zupełnie nieracjonalne.

– Idź sobie, jeśli chcesz – wymamrotała przez zaciśnięte zęby. – Droga wolna.

– Na twoim miejscu, dziecinko, nie puściłabym go za nic na świecie – pani Chattan stanęła obok Angelique i położyła dłoń na jej ramieniu. Zmierzyła bystrym spojrzeniem pobladłą twarz dziewczyny, a potem sylwetkę mężczyzny odchodzącego wielkimi krokami i pokiwała głową. – Ho, ho, tak, tak, jacy ci młodzi potrafią być ślepi – dodała pod nosem. – I postrzeleni. Zamiast spokojnie porozmawiać, robią melodramatyczne sceny. Są przekonani, że postępują słusznie właśnie wtedy, gdy grozi im popełnienie życiowego błędu.

– O czym mówisz? – wydukała bezradnie Angelique.

– Widziałam, jak on na ciebie patrzy. Ten facet cię kocha, dziewczyno! A ty kochasz jego. To naprawdę proste. Jak można było dotąd na to nie wpaść?

– Ale...

– Żadne ale. Biegnij.

I Angelique pobiegła.

– Zmieniłam zdanie – wysapała, dopadłszy go na progu domu.

– Tak? – Obrócił się ku niej, czujny, wyraźnie spięty.

– Chcę więcej. – Spojrzała mu w oczy. Blask słońca rozjaśniał zielone plamki ich ciemnych tęczywek.

– Co masz na myśli? – Zrobił krok w jej stronę.

– Chcę cię za męża, w zdrowiu i w chorobie, w dobrej i złej doli, dopóki śmierć nas nie rozłączy – wyszeptwała, usiłując opanować nagłe drżenie warg. – To może głupie, ale...

Nie dał jej skończyć. Zamknął ją w ramionach i przycisnął do siebie tak mocno, że zabrakło jej tchu.

– Nie wiem, czy to jest głupie – powiedział cicho, z ustami przy jej ustach – ale na pewno ryzykowne. Zwłaszcza że ja też zamierzam zagrać *va banque*. Biorę cię za żonę, Angelique Marchand. I ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską.

Popatrzyli sobie w oczy, poważni, skupieni. Wiedzieli, że toczy się licytacja o życiową stawkę.

– Będę straszną żoną. Wygadana i niezależna – ostrzegła.

– Przy każdej innej umarłbym z nudów.

– Czekają nas ciągłe kłótnie.

– Na to liczę. Godzić się będziemy w łóżku.

– Nie lubisz dzieci, a ja bym chciała...

– Ja też bym chciał. To fakt, dzieci lekko mnie przerażają, ale czym byłoby życie bez dreszczyku emocji? Kiedy tylko będziesz na to gotowa, popracujemy nad rozwojem inwestycji zwanej rodziną.

Angelique roześmiała się, a potem spojrzała na ciemniejące niebo. Jej drobna twarz, okolona srebrzystym futrem kaptura, zdawała się świecić własnym blaskiem.

– Coś mi się wydaje, że dalszy ciąg pertraktacji będziemy musieli odbyć przy kominku – powiedziała z błyskiem w oku. – Strzeż się, południowcu. Nadciąga prawdziwa szkocka śnieżycyca.

Objął ją i poprowadził do środka.

– Założę się, że wiem, jak cię rozgrzać, moja ty królowo śniegu.

– Jedźmy szybko po zakupy! – Pani Chattan, lekko zdyszana, wpadła do domku ogrodnika. – Coś mi mówi, że młodzi będą potrzebowali solidnego prowiantu, żeby przetrwać najbliższe dni...

Tytuł oryginału: Never Gamble with a Caffarelli
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2013
Redaktor serii: Marzena Cieśla
Opracowanie redakcyjne: Marzena Cieśla
Korekta: Hanna Lachowska

© 2013 by Melanie Milburne
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2015

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Światowe Życie są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-1699-9

ŚŻ – 616

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o. | www.legimi.com